Nr. 2. Lwów w lutym 1898. Rok XXI.



Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 lr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

CIĄGŁE ZAWODY.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

Sądząc po awangardach, jakie wysłała tegoroczna zima bardzo wcześnie, bo daleko przed granicami swego urzędowego panowania, spodziewać się było można, że z tyłu postępuje jakaś straszna, nieprzeliczona armia. Co to się będzie działo około Nowego Roku, Trzech Króli, Jordanu, jeżeli już na św. Placyda, tego potulnego zazwyczaj patrycyusza rzymskiego, któremu poświęcono dzień 5-go października, a który zapewne nigdy za świątobliwego swego żywota czegoś podobnego nie widział, zwaliła się na nas potężna śnieżyca — pogniotła dachy — poszarpała lasy i kompromitowała okrutnie dogmat kalendarzowych meteorologów:

„Na świętego Placyda
Jesień wiosną się wyda“,

utrzymuje to szanowne grono tych augurów, chcąc zapewne sprawić przyjemność św. solenizantowi i dać mu podarek, przypominający podniebie rodzinnej Kampanii. Już tam nie wiem jaką minę zrobił tak obdarowany w zeszłym roku, ale okropnie powstydzili się wyznawcy kalendarzowych dogmatów i stracili zupełnie kuraż, doznając następnie ciągłych rozczarowań. Bo nie wstydź się tu, w kalendarzu pogodnie, a na świecie psa grzech wypędzić, to znów mroźno i wietrzno i św. Marcin ma na białym zjechać rumaku, a tu cisza i ciepło, a tu pogoda jak w maju. Na Trzech Króli to już koniecznie mroźno, a tu na pryncypalnych ulicach stolicy stoją stawy rzadkiego błota i ludziska jak myśliwi za kaczkami brodzą w jaruchach, chcąc przejść z jednej strony ulicy na drugą. Lecz kto ciągle

zgaduje i przepowiada, zgadnąć może czasami, przytrafia się to nawet i samemu Falbowi, to też wreszcie zgadł i kalendarz, uratował swą mocno nadwerężoną sławę i po takiej rehabilitacyi poszły w zapomnienie wszelkie dawne plotki i kabały. To istne terno dla tegorocznego kalendarza — bo znów na długi czas będą się sąsiedzi zajmowali meteorologią kalendarzową, znów w braku innego przedmiotu do rozmowy, powtarzać się będą ciekawe zapytania: „a co tam pisze kalendarz“.

Smutno kończył się na niebie dzień 21 stycznia, słońce niby za pasma górskie skryło się w promień szarych chmur, przedwczesne mroki osłoniły ziemię i z gęstym, ciepłym kapuśniaczkiem spadły egipskie ciemności. Chałupa moja wśród boru jodłowego świeciła swemi oknami jakiś czas jak robak świętojański, przeglądałem gazety, kilka niemiłych przypomnień dla obszaru dworskiego, wreszcie zdenerwowany i tem i kapuśniaczkiem spadającym z dachu w styczniu porwałem znienawidzony kalendarz i zaraz na pierwszej stronicy odczytałem następującą wyrocznię: „Nów dnia 22-go o godzinie 8 m. 58 rano. Śnieg z wiatrem“. Aha! gadaj sobie zdrów, nie widzą prorocy lwiej mocy! pomyślałem, a myśli towarzyszył tak enegiczny zamach, że kalendarz znalazł się raptem pod stołem, aż się hucułka „Ziemianina“ skrzywiła. Po co drukować takie brednie? zły byłem, a nie mogąc się doczekać właściwej godziny spoczynku w tej przedwczesnej i przydługiej nocy uczyniłem to nieco prędzej.

Było już po północy, gdy już zupełnie wyspany przebudziłem się raptownie — w otaczającym lesie szumiało gwałtownie, trzeszczały suche gałązki, a jakieś dwa o siebie trące konary jęczały i skwierczały gdzieś w głębi lasu jak dusza pokutująca. Że były to skutki wiatru, nietrudno było wyrozumieć, a ziszcza się już jedna część przepowiedni z poniewieranego kalendarza, ale gdzie śnieg? wyjrzałem przez okno, lecz tam jak tabaka w rogu, czarno i ciemno.

Czyż to już porządnej ponowy w tym roku nie będzie? Czyż mamy cały ten sezon przepaskudzić po błocie i na szarej stopie. Takie zapytania rzucałem jak groch o ścianę o szyby okna — a tam w lesie szumiało i trzaskało dalej, i wśród tej niezwykłej kołysanki zasnąłem ponownie. Gdy się rano przebudziłem, chociaż jeszcze kilka godzin było do świtu, jakiś matowy blask wpadał przez okna, wicher gwałtowny ustał, cicho już było w lesie, a ziemię okrywał puszysty śnieg na kilka cali. Sprawdziwszy to wszystko z progu domu z miną dość niewyraźną podniosłem biednego „Ziemianina“ zpod stołu, odczytałem raz jeszcze jego przepowiednią i złożyłem go w największym porządku. Wydał mi się teraz bardzo sympatycznym, nawet hucułka na okładce była piękniejszą — tak piękną, że mogłaby w cokolwiek zmienionym kostjumie zastąpić nawet egipską Aidę.

Wprawdzie wyrocznia kalendarska sprawdziła się nieco prędzej, jak to nastąpić miało. Ale już w tem nie wina kalendarza, ale wiatru, który lecąc nader szybko, co znów trudno przewidzieć, uprzedził chwilę fazy księżycowej. W każdym razie lepiej wcześnie, jak za późno, dla mnie szczególniej, bo przy nadzwyczajnej punktualności wszystkich czynników zmian meteorologicznych nie mógłbym już z brzaskiem dnia rozpocząć wędrówki po ponętnej ponowie, po której już tu i ówdzie jeszcze ciepłe przebiegały tropy.

Nie uszedłem jeszcze stu kroków brzegiem jodliny tuż za domem, gdy wstrzymało mnie niezwykłe zjawisko. Wśród boru może o 50 kroków odemnie na zupełnie białym pokryciu czerniała tam spora kupa grud i ziemi. Mrozik był słabiutki, śnieżek jak puch, mogłem się zatem bardzo łatwo podsunąć zupełnie cicho pod tę, jak sądziłem, buchtę w nocy zawędrowanego dzika. Musi tam leżeć, myślałem. Zdawało mi się, że już widzę subtelne obłoczki pary z po za buchty, a tymczasem zbliżałem się z odwiedzionymi kurkami i bijącem sercem coraz bliżej, coraz wyraźniej widziałem wszelkie szczegóły dziczej roboty, grudki ziemi rozrzuconej, kawał spróchniałego pniaku, wydarty i wyrwany, lecz równocześnie coraz bardziej rozwiewały się majaki ułudy, znikł i pozorny obłoczek pary i wreszcie to wszystko, co żywa wyobraźnia tak ponętnie wymalowała. Stałem nad martwą pustką — dzika nie było. Naturalnie, że po takim rozczarowaniu jąłem obchodzić do około buchtę, śledząc za tropem, ale i tego nie było, li tylko mój własny ślad znaczył się na jednostajnej powierzchni. Cóż to, czy na skrzydłach nocnego huraganu zleciał ten gruboskóry brutal, wyprawiwszy mi taką psotę, kędyś nad ranem poleciał dalej powietrznym szlakiem?

Takie śmieszne fantazye snuły się po głowie, gdy na razie nie mogłem sobie rzeczy wytłumaczyć. A przecież był tam z pewnością, na niezamarzniętym dnie buchty znaczył się dosyć wyraźnie wytłok potężnego sapcia.

Układając różne kombinacye, obchodziłem już niewiem po raz który zagadkową buchtę, a wydeptawszy już formalną ścieżkę przyszedłem wreszcie do jakiegoś pewnika. Gdyby zwierz na kilka godzin przed porannym śniegiem buchtował, n. p. z wieczora, poruszona, ciepła w głębi ziemia byłaby niezawodnie o tyle ostygła i zrównała się z temperaturą powietrza, że spadły rano śnieg byłby wszystko pokrył jednostajnie; tak zatem być nie mogło, raczej zjawił się albo bezpośrednio przed, albo wśród spadającego śniegu, poszlak naturalnie został zawiany i zarównany, a niewielkiej grubości warstwa śniegu ztajała na ciepłej ziemi buchty.

Fizykalny ten wywód wytłumaczył mi wprawdzie rzecz zagadkową, widziałem mniej więcej o której godzinie czarny gość nawiedził mój lasek, ale co dalej było znów tajemnicą. Czy wyszedł? a któż to mógł dociec — prawdopodobnie że nie, bo jeżeli przybył nad ranem jak na to me fizykalne kombinacye wskazywały, to z pewnością nie na dzień dobry, ale musi to być jakaś przepłoszona sztuka z dalszych kniei, jakiś pojedynek zaniepokojony w dotychczasowej swej leży, który po nocnej wędrówce za żerem pragnął spocząć w jakiemś gościnniejszem ustroniu. A więc nie wyszedł — była to ostatnia konkluzya, a w takim razie dobrze się bratku wybrałeś, szukając gościnnego ustronia. Ale jak go dostać, jak go zajść na strzał, choćby w niewielkiej kniei bez żadnych ku temu wskazówek? Nietrudno w takich wypadkach zbytnią gorączką popsuć wszystko i wyruszyć bezskutecznie zwierza, który i bez tego z pewnością ozmroku wybierze się w dalszą drogę. Ale do zmroku było jeszcze daleko, miałem cały dzień przed sobą, to też można było jakiś czas poświęcić na ułożenie porządnego planu kampanii. Chcąc zatem podwójnie korzystać z czasu i zdobyć może po drodze jakieś ku temu wskazówki puściłem się w dalszą około lasu wędrówkę, snując nić strategicznych kombinacyi.

Już byłem po drugiej stronie lasu po przejściu 3-ch gęstym młodnikiem zarosłych deber, z których każda jakby stworzoną była na urządzenie sobie leży bardzo wygodnej, gdy mnie doszedł z głębi lasu jakiś szwargot niewyraźny. Głosy się zbliżały, i jakkolwiek nie mogłem pochwycić całości dyalogu, dolatywały mnie najwyraźniej pojedyncze słowa: Chazer, bücks, purec. Wszystko to wydało mi się

nader podejrzanem i zaciekawiło niezmiernie. Co ci żydkowie, bo nie trudno się było dorozumieć, że oni to byli, śpiesząc na wspólną modlitwę najkrótszą drogą, bo leśną ścieżyną do wsi, co oni mają do gadania o takich rzeczach?

Gdy się tylko ukazałem na ścieżce obaj biegli już ku mnie i gestykulując w sposób gwałtowny prześcigali się w doniesieniu o rzeczy widzianej. Zrobił się krzyk i harmider jak na jarmarku, i taki zapał ogarnął obu, że cała moja mimika, nawet dość energiczna, nie zdołała ich poskromić na razie. „A wilde Chazer si du! ech habe ihn getroffen, ja jege trafil! krzyczał młodszy Szlojma jak oparzony, a już z większą nieco powagą, ale niemniej krzykliwie uzurpował sobie w całości honor odkrycia sławny Szmul, „Si lügen“ powtarzał b z końca, „ech hab ihn getroffen, ja jemu ucha widził“.

Można sobie wystawić co się we mnie działo, wyczerpałem już wszystkie sposoby, aby uspokoić ambicyonujących się żydków, ale wszystko nadarmo

Łatwo było przewidzieć następstwa takiego jarmarku tuż nad niedługą debrą, w której miał spoczywać „a wilder Chazer“. Nie miałem już wiele do stracenia, to też chcąc położyć koniec kłótni, użyłem sposobu, który nietylko w lesie i wśród takich okoliczności wszedł w powszechne użycie u schyłku naszego stulecia, „Zamknij gębę jeden z drugim, albo“ i tu podniosłem rękę tak gwałtownym ruchem, że aż śnieg obsypał się z jodły, obok której stałem, ale nie potrzeba było już tej drugiej alternatywy, bo żydkowie ucichli raptem i chyłkiem poczęli się z lasu wynosić.

Pozostałem w lesie sam nad debrą, w której prawdopodobnie już dzika nie było. Tuż ponad debrą wzdłuż, znaczył się w gzygzakach ślad dwóch krzykunów, którzy w tej chwili drałowali już przez łąkę pod lasem prosto ku karczmie. Że żydki dzika widzieli w legowisku byłem pewny, tak zajadle spierać można się tylko o prawdę, czy ruszył on wysłuchawszy głośnej kłótni, w której tyle razy został nazwany, tego na pewne wiedzieć nie mogłem. Cóż miałem począć? myśliwych do należytego obstawienia debry nie miałem, najlepiej jeszcze na chybił trafił, jest czy nie jest, podsunąć się ku legowisku Chcąc to wykonać, a nie mając żadnych wskazówek innych, musiałem pójść do Kanossy, a podbiegłszy na kraj lasu zaświstałem na żydków. Gdy się na świst mój obrócili, ze śmiejącą i najprzyjemniejszą, jaką mogłem tylko uczynić miną, nawoływałem ich ręką. Chwilę niedowierzająco obserwowali moje ruchy, wreszcie starszy Szmul puścił się ku mnie, a za nim podążał Szlojma. Gdy Szmul już był tak blisko, że głos mój przytłumiony mógł być zrozumiany, zaproponowałem mu, aby mi pokazał, na którem miejscu debry „widział ucha“. „Czemu ni, ja bedzie zaraz pokazował“, oświadczył się z całą gotowością. Uszliśmy może ze sto kroków ścieżyną, o kilka kroków przedemną postępował Szmul, towarzysz jego pozostał chwilę na kraju lasu, wreszcie wspinał się także za nami, trzymając się w przyzwoitej odległości.

Ścieżyna prowadziła teraz niezmiernym gąszczakiem jodłowym, gdzie i na 20 kroków w głąb niczegoby nie dojrzał, prawie wszystek śnieg zawisł na gałązkach gęstwi, a ziemia była o tyle tylko popròszona, że zaledwie znaczył się nasz trop na niej.

Tu Szmul, ta istna moja busola, zwolnił kroku, podniósł swój długi chałat, zasunął poły za pas wełniany i zmienił go w duch na jakiś rodzaj kusego spencerka. Były to tylko przygotowania do tego, co wkrótce nastąpić miało, weszliśmy snać w najinteresowniejszy teren, przynajmniej zachowanie się Szmula wskazywało dobitnie, że tuż tuż pokaże się czarne „ucha“.

Wpatrywałem się jak ryś w gęstwinę, chcąc przeniknąć tajemną ciemnicę, ale napróżno, a tymczasem Szmul co krok przysiadał w swym adaptowanym spencerku i podglądał spodem gęstwinę. Nie był to już ten hałaśliwy i tylko o geszefcie myślący chałatnik, bo w chwili stanowczej, już niedaleko legowiska grubego zwierza, z pod grubej pokrywy wydobyły się widocznie popędy pierwotne człowieka, zapanowały ponad wszystkiem i nacechowały w swój odrębny sposób ruchy i całą figurę Szmula. Milczał jak ryba, stąpał jak kot, przesuwał się jak wąż nie utrąciwszy okiści z gałęzi; przysiadł wreszcie wpatrując się uporczywie w jedną stronę, a po chwili zwróciwszy głowę ku mnie wskazał ręką w gęstwinę. Rzuciłem okiem we wskazanym kierunku, lecz niczego dopatrzyć nie mogłem, postąpiłem jeszcze kilka kroków i przysiadłszy tuż koło Szmula dojrzałem dzięki temu, że młodnik w tem miejscu był o wiele rzadszy i rok temu przetrzebiony, o jakie 60 kroków niewielki kopiak mrówczy, przetrzęsiony z rzadka śniegiem, tak, że miejscami igliwo wyzierało, a za kopiakiem rysowała się jakaś ciemna, trochę postrzępiona figura.

W chwili takiej zdumiewającą jest suggestya; gdy już poczynałem wątpić, wpatrując się w zanadto jak na sylwetę dzika poszarpaną linię, zwróciłem się do Szmula z wyrazem wyrzutu, lecz ten miną twarzy i ruchem ręki koło uszu potwierdzał, że mamy tu rzeczywiście z dzikiem do czynienia, gdyby mógł mówić wyrzekłby zapewne: Si du! o zet man doch die Oiren!

Jak trudnymby był wykład ślepemu o kolorach, tak trudną jest rzeczą wytłumaczyć oku potęgę złudzeń. jakim nasz zwrok, choćby najlepszy, ulega wśród najrozmaitszych warunków światła i cieni w kniei. Najzwyklejsze kształty przedmiotów grupują się tam częstokroć pod wpływem oświetlenia w majaki ułudy, a gdy w dodatku zbieg okoliczności i skrzydła wyobraźni zacieniają jeszcze bardziej narząd zmysłowy, to już przysięgać chyba można na to, co nigdy w rzeczywistości nie istniało.

Mnie wprawdzie w danych warunkach było jeszcze daleko do przysięgi, bo nadto często w długiej kolei żywota myśliwskiego doznałem psot i żartów złośliwego Boruty, ale — ale z dosyć sporą dozą wiary podsuwałem się pod rzekome legowisko. Powtórzył się znów ten sam proceder jak niedawno przy buchcie, ja ostygałem zbliżając się i rozpoznając coraz dokładniej sytuacyę, Szmul zaś, którego już zapewne opuściły pierwotne instynkty, zagrzewał się tymczasem drałowaniem ścieżką, dążąc wprost do wsi.

Zamiast dzika, rozparta na osmolonym szturpaku leżała tam na pół przegniła i przyczerniała kłoda jakiegoś sękacza, tuż za mrówczym kopcem pomierzwionym nieco przez dzięcioła lub sojkę, z wierzchu pokrywał kłodę śnieg a spód rysował się czarno na białem tle.

Doznałem znów fatalnego rozczarowania, a opisując tę całą awanturę pozbawioną realnej treści, sprawiłem również zawód cierpliwemu czytelnikowi, który miał całkiem słuszne nadzieje innego obrotu rzeczy. Jeżeli dzik w samej rzeczy zaległ gdzieś w gąszczy jakiejś debry, to chyba przy bardzo gęstej pogonce i przy dobrem obsadzeniu stanowisk można było liczyć na jakieś powodzenie. Sposób ten, jak łatwo pojąć, był na razie nie do wykonania, a ultima ratio, której spróbowałem już pod wieczór, również do niczego nie doprowadziła.

Dwa moje kundysy, doświadczeni zresztą rzeczoznawcy w tym kierunku, w tym wypadku bez żadnej emocyi prze-

wietrzały się wraz ze mną po całej knieji i wróciły o wiele przedemną do domu.

W nocy z 22. na 23. wprawdzie nieco kurzyło w polu, ale już kilka kroków w las znaczył się doskonale trop nowy nawet drobnej zwierzyny, jednak nie można tam było odkryć poszlaku wychodzącego którędykolwiek z lasu dzika. Nie mogąc przypuścić, aby zwierz jeszcze ciągle w kniei zalegał, dałem za wygraną i uwierzyłem w końcu, że przyszedł on w samej rzeczy na dzień dobry nad ranem dnia 22, że zatem moje kombinacye były tym razem nieprawdziwe.

Wreszcie rano dnia 25. po poprzedniej kurzawicy w dniu 24. stałem wcześnie rano nad świeżym zupełnie poszlakiem dzika. Zwierz wyszedł z jednej z deber i smarował przez pola ku lasom Niedzwiedzy. Bliższe oględziny w debrze, a raczej w niesłychanej gąszczy skąd poszlak wychodził, utwierdziły mnie w przekonaniu, że był to ten sam dzik, ktory mi w d. 22. tyle sprawił zawodów.

Około morgowy kawałek gąszczy jodłowej, przez którą li tylko z wielką biedą przepchać się zdołałem, był w najrozmaitszych kierunkach pokrzyżowany tropem, który jednak ani razu nie wychodził poza obręb gąszczy, w trzech miejscach, o ile to można było sprawdzić, znajdowały się legowiska wprost na nagiej ziemi bez żadnego buchtowania, na kilku jodełkach dostrzegać się dawały ślady dziczej toalety, starcia lub pojedyn ze szczeciny w zadziorach kory. Wszystko to wskazywało, że zwierz w tym nieprzystępnym i zawianym azylu przepędził dni kilka na gorzkiej pokucie i suchedniach, śladów bowiem żerowania odnaleść nie mogłem i że wreszcie trapiony głodem i nostalgią opuścił swe schronisko, dążąc do swych rodzinnych kniei, skąd wyparowały go polowania styczniowe.

Kotowania 28. stycznia 1898.

„Cel uświęca środki“.

W cennej rozprawie „Przykre konieczności“ poruszył wielce szanowny autor kwestyę trucia drapieżników. Słusznie nazwał sposób ten „*ultima ratio*“, którego jednakże myśliwy pod dewizą w tytule zacytowanego przysłowia, często chwycić się musi, bo do tego zmuszają go okoliczności. Do takich, oprócz faktu nadmiernego rozmnożenia się drapieżników, należą właściwości i położenie terenu łowieckiego. Wiadomem jest jak mały procent lisów pada w terenie górzystym. Czy przed nagonką czy przed psami lis ruszony, w miocie widziany, przepada gdzieś bez wieści; liczne jary dają mu możność niespostrzeżonego wyjścia z miotu, z rozpadliny i jamy do schronienia się. O tak skutecznem gdzie indziej tępieniu lisów, zwłaszcza młodych, w jamach przez kopanie i z jamnikami, w takim terenie nawet myśleć nie można. Pierwsze niemożliwe z powodu skalistego gruntu, drugie w obec często zdarzających się jam terasowatych, narazić może psy na niemożliwość wydostania się i straszną śmierć głodową. W takich to twierdzach ród lisi rozmnaża się bez przeszkody. Czasem znowu graniczy się z sąsiadem, który lisa tępi tylko dla futra, więc przez czas stosunkowo krótki; lis tam nie niepokojony chętnie w dzień przebywa, w nocy zaś odbywa dalekie wycieczki za żerem w sąsiedztwo. Wiadomo także jak rzadko pada od strzału, któraś z dwóch odmian kun naszych, tych małych, a dotkliwych nocnych drapieżników. Nie jeden z nas wreszcie miał nieszczęście posiadania w kniei szajki zorganizowanej notorycznie polujących psów, których zmysły przebywaniem na wolności i polowaniem do tego stopnia się zaostrzyły, że czasem przez tygodnie całe nie można strzałem uwolnić się od tej plagi; nieporównaną muzyką dla myśliwego jest granie psów, ale granie tych psich kłusowników to istna tortura dla niego.

W tych wszystkich wypadkach strychnina oddaje znakomite usługi.

Czy jest to sposób myśliwego godny? Dyskusya na ten temat ma, według mego zdania, znaczenie tylko teoretyczne. Pod względem etycznym stawiam truciznę o wiele wyżej jak żelaza. Trucizna działa natychmiast, zwierz zaś w żelaza złapany przechodzi, jeżeli go one jak zwykle nie duszą odrazu — straszne cierpienia moralne i fizyczne. Rozumie się, że takie np. tępienie dzików zatrutą żołędzią, każdy musi uważać za czyn przynoszący hańbę myśliwemu.

Zajmując się osobiście, lub kierując akcyą tępienia drapieżników za pomocą strychniny przez lat kilka, używałem najrozmaitszych sposobów postępowania i rozmaitych materyałów, chętnie nabytem w tym kierunku doświadczeniem, chociaż w rysach ogólnych, z szanow. czytelnikami się dzielę. — Sposoby używane przezemnie podzielić mogę na: 1. trucie w pewnych stałych miejscach, 2. trucie za powłoką i 3. trucie na przesmykach.

Ad 1. W miejscu oddalonem od domostw i od dróg i ścieżek wolnej komunikacyi, przy kraju lasu lub na większej płazowinie, już z nastaniem pierwszych mrozów, zakopywałem konia (lub jakąkolwiek padlinę) po poprzedniem rozpruciu go, w ten sposób, że tylke nogi z pod ziemi wychodziły. Gdy padlinę lisy dobrze wzięły, w jamki przez nie obok tejże porobione zakładałem lekko ziemią, względnie śniegiem pokrywając albo kostkę zatrutą, albo orzeszek powleczony świeżem jelitem ze zwierzyny lub drobiu.

Miejsca założenia trucizny oznaczałem patyczkami nieznacznymi, by je z łatwością kontrolować można było. Sposób ten ma tę zaletę, że nie jest zależny od pogody, i na czarnej stopie da się także zastosować, gdyż lisy żerując dalej mimo spożycia trucizny, zostają zaskoczone śmiercią i znajduje się je przy samej padlinie lub zaraz obok niej. Prócz lisa przy tym sposobie weźmie się często i kunę. Licząc głównie na ptactwo drapieżne i psy kłusowniki, preparowałem samą padlinę. Mianowicie wycinałem ostrym nożem z grubych mięśni (uda, łopatka przednia, polędwica), przez dwustronne zacięcia kawałki średniej wielkości, lub mniejsze a liczniejsze dla ptactwa, w ten sposób, że kawałek taki za uchwyceniem z łatwością odłączał się od całości i jedną dawkę stanowił. Każdy taki „kotlecik“ bez wyjmowania go z miejsca, z którego odcięty został,

nacinałem w środku, w nacięcie to wsuwałem złożony we dwoje płatek suchego jelita, w płatek ten nasypywałem dozę strychniny i następnie dwie te połówki „kotleta“ zwierałem, wyrównywując zupełnie miejsce zacięć. W ten sposób przyrządzoną ucztą pozbyłem się jednej nocy zorganizowanej szajki z trzech psów kłusowników złożonej, w innej miejscowości prócz kruków, wron i srok struł się, (czego żałowałem), jeden z dwóch orłów w tej okolicy przebywających — drugi od tego czasu stale unikał tej padliny, w trzeciem zaś miejscu zaraz po wieczornem spreparowaniu na drugi dzień znalazłem przy padlinie 11 kruków i kilka wron i srok, lecz ten ród czarnych dusz po tej katastrofie również stronił już od tej padliny.

Ad 2. Sposób trucia za powłoką, o wiele więcej zajmujący, praktykowany w wielu okolicach z rozmaitemi odmianami w postępowaniu, zależny jest już od stanu pogody, wymaga dobrej znajomości terenu i skrupulatnego przyrządzenia i założenia powłoki. Bezsprzecznie, że wiele szczegółów z recept przyrządzania zwłaszcza odwiatru, które to recepty przechodząc z ojca na syna starannie przechowywane, do dziś się utrzymały, zawiera składniki nie mające znaczenia żadnego, ani odwietrzającego ani przynęcającego. Pomijam znane wreszcie szczegóły tych rozlicznych sposobów przyrządzania powłoki, gałek, odwiatru, oraz zakładania powłoki, gdyż na ten temat możnaby dziełko napisać, ograniczę się tylko do wzmianki, jakie sposoby najmniej skomplikowane i wśród wielu innych najkorzystniejszymi w mej praktyce się okazały. Otóż na powłokę używałem kota, nie dla tego, abym wątpił, by np. jelita ze zwierzyny również dobrej usługi nie oddały, lecz dla tego, że kot taki opalony i oczyszczony z włosa, służyć może przy odpowiednem obchodzeniu się z nim na cały jeden sezon, nie rwie się po krzakach jak jelita i jest przyjemniejszy w transportowaniu. Strychninę umieszczałem w gałkach zrobionych z mięszaniny stearyny i wosku białego i doświadczyłem, że lepsze gałki grubsze, aniżeli za cienkie, pryskające już przy chwyceniu przez lisa przednimi zębami. Z tego samego powodu lepsze są orzechy (tureckie) od gałek, gdyż lis chcąc orzech zgryźć, bierze głęboko na trzonowe zęby i mimo natychmiastowego skrzętnego wypluwania, nie pozbędzie się tych tysiącznych, drobniutkich kryształków trucizny, które na błonach śluzowych jamy pyskowej osiadły. Orzechy do tego użyte muszą być zdrowe, spruchniałych lis nie bierze, trzeba więc, co jest dość żmudną pracą — przez odpowiednio zrobiony otworek ziarno — kawałek po kawałku — zupełnie wydobyć i następnie strychniną wypełnić, zalepiając lakiem lub woskiem zrobiony otwór. Zakładanie gałązki z cierniem, by orzecha lis nie połknął, nie jest konieczne. Jako najlepszy odwiatr i przynęta okazał się tłuszcz z kota. W okolicach, gdzie zamieszkują stare panny, o tłuszcz taki nie trudno.

Między innymi spróbowałem raz odwiatru, w ostatnich czasach przez pewną firmę niemiecką bardzo reklamowanego; mimo najstaranniejszego przyrządzenia według dołączonego przepisu, nietylko że żaden lis gałki ani grzanki nie wziął, lecz omoczyły mi je tak, że wszystkie zniszczyć tj. przerobić musiałem. Na orzechy i gałki prócz sporej ilości lisów wziąłem również kilka kun kamionek. Wśród śnieżnych zim, gdy lis chętnie wydeptanemi już ścieżkami, chodzi, lepiej ciągnąć powłokę i zakładać grzanki i gałki w śladzie płoza od sani, a nie jak zwykle obok sani. Najnieprzyjemniejsza przy tym sposobie trucia są niespodzianki, jakie w tym właśnie czasie, gdy lis najlepiej bierze ponętę, tj. w miesiącach styczniu i lutym — pogoda nam sprawia. Gdy śnieg w nocy powłokę zawieje, lub silny wiatr gałki odtoczy, nie można odszukać ani ich, ani lisów strutych. Czasem znowu lis „zdradzony“ zakopuje z powłoki odnosząc, wszystkie gałki, a nawet i grzanki. Miałem takiego lisa, który regularnie to mi czynił; zamierzałem właśnie urządzić dla niego orzeszki w znany sposób na nitce, lecz słoty uniemożliwiły w ogóle dalsze trucie na powłoce.

Sposób ten trucia, jak wspomniałem, daje bardzo dobre rezultaty, powłoką objąć można znaczne przestrzenie ściągając lisy, najlepiej jednak cały teren podzielić w ten sposób, by powłokę powtarzać nie częściej jak 5 do 6 dni.

Ad 3. Trucie na przesmykach da się zastosować w każdej porze, chociaż i tu śnieg tj. biała stopa jest pożądaną. Na przesmykach, które zdradza trop lisa, a zwłaszcza t. zw „karta wizytowa“, zawiesza się na odpowiednim krzaku w wysokości około 50 cm. nad ziemią, ptaszka (trznadla, wróbla) łebkiem na dół. Ptaszka tego poprzednio się zatruwa, napełniając ostrożnie za pomocą piórka strychniną krtań, wprowadzając strychninę pod skórę, lub napełniając nią dokładnie z mózgu oczyszczone wnętrze czaszki, która następnie dokładnie zwartą być musi. Sposób ten okazał się również w wielu razach bardzo dobrym, i lisa znajduje się zwyczajnie nie daleko od ponęty spożytej. Jeszcze parę słów o strychninie.

Najlepsze skutki osiągałem używając azotanu strychniny, lecz tylko w formie bardzo drobno krystalicznej.

Wogóle im strychnina jest drobniej krystaliczna (pulchniejsza), tem gwałtowniej działa, z łatwo wytłumaczyć się dających powodów. Przy wymienionych sposobach trucia, zależnie od przyrządzenia ponęty, trucizna dostaje się albo do przewodu pokarmowego, jak np. przy zatrutych jelitach, kawałkach mięsa, śledzia itp., albo jak przy orzeszkach, gałkach, łebkach z ptaszków, kostkach — już przy rozgryzieniu pada na błony szluzowe jamy pyskowej, a przez naczynia limfatycznie zasymilowana, działa na organizm, wywołując w pierwszej linii porażenie ośrodków nerwowych.

W pierwszym wypadku zwierz może daleko odejść, gdyż trucizna działać zaczyna dopiero w chwili, gdy w żołądku przez mechaniczne tegoż ruchy lub proces trawienia z okrywy się oswobodzi, w drugim wypadku działanie jest bardzo szybkie, często natychmiastowe. Ażeby jednakże działanie to osiągnąć w stopniu, co zawsze jest pożądanem, najwyższym, strychnina w orzeszkach, gałkach itp. musi być zawsze w stanie luźnych i suchych kryształów, gdyż takie tylko w chwili zgryzienia okrywy rozpylić się i w dostatecznej ilości na błony śluzowe jamy pyskowej dostać się mogą, gdyż i przy strychninie istnieje pewne minimum dozy, poniżej którego ta albo wolniej, albo już śmiertelnie nie działa.

Jakkolwiek kto metodę trucia stosuje, powinien zawsze pamiętać, że strychnina jest jedną z najgwałtowniejszych trucizn, że z nią nigdy za ostrożnie obchodzić się nie można, że ciężka odpowiedzialność ciąży na każdym, kto trucizną operuje. Dlatego, jeżeli już ma być podwładnemu personalowi poruczone trucie, to udzielić mu należy pod ścisłym rachunkiem pewną niewielką ilość gotowych orzeszków z napomnieniem i pouczeniem odpowiedniem. Resztki wyplute przez lisy z rozgryzionych orzechów, należy na papierku spalić; w ogóle najlepszym środkiem do zniszczenia strychniny jest ogień, gdyż ta jako ciało organiczne pod wpływem wyższej temperatury z łatwością się rozkłada. Zarzucić należy stanowczo zatruwanie całej padliny, a ograniczyć się tylko do zatruwania pewnych kawałków pod rachunkiem. Strute lisy (lub kuny) po natychmiastowem obciągnięciu ze skórki, należy głęboko zakopać, tak samo

i ptactwo strute, strychnina bowiem może jeszcze przez te pierwsze ofiary, dalej działać, zwłaszcza gdy truto ponętą, która dopiero w przewodzie pokarmowym działa. Raz służący przez zwykłą lekkomyślność u naszych ludzi, dał strutego orzeszkiem lisa puhaczom. Gdym to spostrzegł, pozostał z lisa tylko łeb i przednie łopatki, resztę puhacze zjadły bez złych skutków dla zdrowia. Widocznie tutaj działanie strychniny nie objęło było części zjedzonych, a silne mrozy nie dozwoliły na infiltracyę dalszą. Przeciwnie na takich szczątkach strutego lisa kawałkiem jelita — padły w oczach moich dwie sikorki, które resztki te oddziobywały. Cała akcya trucia zaś powinna być prowadzoną bez rozgłosu, z łatwo zrozumiałych powodów. Przypominam sobie wypadek na Rusi, gdzie jeden z ciekawszych włościan zaintrygowany tajemniczymi, wieczorną i ranną porą powtarzającymi się wyjazdami nadzorcy lasowego, zaczął go szpiegować i po pewnym czasie z podpatrzonych faktów zestawił przyczyny i skutki w tej formie: „kota ciągnie się wieczorem — rano zbiera się nieżywe lisy“. Wtajemniczył widocznie w to nadzwyczajne odkrycie swych przyjaciół, gdyż w pewien wieczór nadzorca wzmiankowany był świadkiem, jak ze wsi na pola obok chałup jednak się trzymając, wyjechały sanie, na sankach kilku odwróconych od koni chłopów — a za sankami na sznurze ciągnął się — kot. Rano a właściwie jeszcze w nocy snuły się po tej powłoce, tajemnicze, ku ziemi pochylone postaci... Po kilku takich próbach dali za wygraną tej nowej metodzie kłusownictwa, a śledząc dalej szczęśliwszego od nich nadzorcę, starali się go w zbieraniu otrutych lisów uprzedzać.

A. R. R.

Wspomnienia z polowań na Ukrainie.

Napisał

ALBERT MNISZEK.

„A gdy ujrzysz step dokoła
Najeżony mogiłami,
To kraina Archanioła!
Ukraina . . . .!“

Opuszczam dworzec koleji. Wsiadam do bryczki zaprzągniętej w porącz czwórką siwych, krępych koni i jak wiatr lecę ku celowi mojej podróży. Przedemną kraj otwarty, pusty, równy; na widnokręgu zabieleje się czasem wioska, zaszarzeje lasek, zabłyszczy woda i dalej znów pusto i równo; mijam samotną w polu karczemkę i zjeżdżam na step.

Nie myśl jednak łaskawy czytelniku, że dzisiejszy step ukraiński to ten sam step dziki, ojczyzna wilków, ten las bodiaków, po którym swego czasu „lirnik“ Zagłoba ze swem „pacholęciem“ Heleną wędrował. Dzisiejszy step ukraiński to żyzna, ogromna, uprawna, urodzajna równina, to jedno wielkie, złote morze dojrzałej pszenicy lub wspaniały, zielony szmat oziminy, stosownie do pory roku, krajobraz wspaniały, jedyny w swoim rodzaju, niezmiernie tęskny, a tęsknoty dodają mu jeszcze rozsypane po tym stepie kurhany.

Właśnie przejeżdżam koło takiego kurhanu. Jest to kopiec, pagórek ludzkiemi rękami usypany, dziś uprawny jak i łan, wśród którego się wznosi, więc też jak szmaragd zielony; tam dalej wśród morza ścierni wznosi się inny żółto-szary, tam na horyzoncie widać trzeci, tam znów czwarty, piąty i dziesiąty..

Ach jakiż ten „step najeżony mogiłami“ smutny, tęskny i wspaniały zarazem! Tu masz przed sobą straszną i smutną, a zarazem chlubną historyę kilku ubiegłych wieków! To pobojowisko olbrzymów, a zarazem i cmentarz dziesiątek pokoleń! To święta ziemia ukraińska, zroszona krwią tylu bohaterów; a ile tu zdobyto wawrzynów, ile legło tu buław i buńczuków hetmańskich! Cóż dziwnego, że Rewerze wykopano buławę!

W wiekach najazdów tatarskich, kurhany miały cel dwojaki; albo były to kopce, które sypali Tatarzy dla łatwego zorjentowania się z powrotem z wyprawy, (szlaki tatarskie), albo były to, czem są dotąd, mogiły, w które składano ciała poległych w bitwie wojowników.

Staję przy takim kurhanie! Ile myśli tłoczy się do głowy! — w zamyśleniu widzę lecących jak duchy skrzydlatych rycerzy, słyszę chrzęst łamanych kopii i mieczów, jęki rannych i rżenie koni, wściekłe okrzyki: Ałłah il Ałłah i brzmienie przecudnej pieśni: „Boga rodzica“..... a w tej mogile czy jeszcze spoczywają kości dzielnych bohaterów? gdyby one mogły opowiadać swoje dzieje! — usłyszałbyś może znane ci imiona, a może i Twoich Ojców imię! Ale nie masz już lirnika, coby opiewał czyny ukraińskich rycerzy! *Tempora mutantur!* któżby dziś słuchał lirnika?!

Lecz już zaszło słońce — jedźmy — pokój umarłym! nie mąćmy im ciszy!

Ruszam jak wiatr! O jakie sto kroków widzę stadko stojących dropi — mógłbym kulą szczęścia spróbować, ale żal mi było psuć tej harmonii uczuć i myśli!

Wpadamy w las rzadki, stary, dębowy, na którym już dobrze złoci się jesień; wkrótce go opuszczamy, bo laski zwykle małe na Ukrainie.

Wjeżdżamy w wieś schludną, widocznie zamożną, jedziemy ulicą na jakie dwieście kroków szeroką, między dwoma rzędami chat. Chaty czyste, białe, ubrane wieńcami kukurudz. Pędzimy granicą tysiąc morgowego stawu (taki staw większy lub mniejszy jest w każdej wsi na Ukrainie). Wysoko na tle cudownego szafiru ciągną stada dzikich gęsi i kaczek, kulonów i innego ptactwa. Mijamy dużą, białą, z czterema okrągłemi, zieloną blachą pokrytemi kopułami cerkiew... i wjeżdżamy do dworu.....

Ukraina to raj dla myśliwego! Fauna dała tu jednak pierwszeństwo ptakom. Prześliczne polowania błotne — mnóstwo dubeltów! Na stawach, których wszędzie dużo na Ukrainie wywodzą się dzikie gęsi i kaczki. Polując tego roku w kijowskiej gubernii z końcem września na stawach, widziałem zrywające się takie chmury kaczek, że prawdziwie zaciemniały słońce, a huk, które robiły przy zrywaniu się, podobny do dalekiego grzmotu, słychać było na kilka wiorst wokoło. Gęsi dzikich w całej okolicy w tym czasie nie było. Jak mi opowiadano było ich mnóstwo przed miesiącem, ale ogromne manewry, które tam w jesieni się odbywały, wypłoszyły te ostrożne ptaki.

Mój kuzyn, hr. Montresor w Nowochwastowie, w kijowskiej gubernii w powiecie skwirskim zamieszkały, u którego co roku prawie poluję, myśliwy ogromnie dbały o zwierzynę, przyjął tego roku na służbę gajowego, chłopa tamtejszego nazwiskiem Mykita. Wziął go dlatego tylko, że z zapalonym kłusownikiem dać sobie rady inaczej nie mógł. Mykita, to ładny typ ukraińskiego mołojca, smutek i tęsknota

tej ziemi maluje mu się w oczach. Jestto również typ prawdziwego ukraińskiego kłusownika w szlachetniejszem tego słowa znaczeniu, nie dla zysku, ale z szalonej pasyi myśliwskiej. Nikt nie umie lepiej wozić na stawie jak Mykita, zna on najrozmaitsze tajniki i zakamarki stawu, wszystkie jeziorka (halawy), zrobione przez rozmaite grupowania się pływających spławów, wie, o której porze i gdzie kaczki najwięcej siedzą, wzrok ma szalony, wiosłuje tak cicho, że prawie zawsze udawało mi się podjechać siedzące kaczki, a wtedy więcej gorączkował się on z wiosłem w ręku, jak ja ze strzelbą. Nieraz płynąc po cichej przestrzeni wód, wypytywałem się go o dzieje i sposoby jego polowania i ciekawe opowiadał mi rzeczy.

Do zajęcy nie strzelał nigdy, nie robiły mu one emocyi; głównem polem jego exploatacyi był staw. Ubił w życiu setki dzikich gęsi i kaczek; w jesieni zaś zastawiał sidełka własnego pomysłu na wodzie, na które łapał kaczki a nieraz gęsi dzikie, podcinał im skrzydła i zamieniał je na swojskie i w ten sposób dorabiał się na zimę przychówku. Nie tylko od niego, ale z ust najwiarygodniejszych słyszałem, że Mykita miewał w zimie w swojej zagrodzie po kilkanaście dzikich gęsi i kaczek w ten gwałtowny i radykalny sposób przyswojonych.

Wszystkie gatunki kaczek są na stawach ukraińskich bogato reprezentowane; nigdy tylko nie spotkałem świstuna, zato widywałem u nas rzadką kaczkę z dziubem jak łyżka: (Anas clypeata).

Do nienajrzadszych także ptaków na Ukrainie należy prześliczna czapla jak mleko biała z kitką na głowie. (Ardea gazella).

Królem ptaków ukraińskich jest drop. Często widuje się na Ukrainie te śliczne i ostrożne ptaki. Opowiadają, że gdy późną jesienią po deszczu nagle mróz chwyci, mokre ich pióra lodowacieją, ptaki nie mogą wzlecieć, wtedy można je sforsować koniem lub chartem, a nawet jak stado indyków do domu zapędzić i taki wypadek miał się niedawno zdarzyć koło Winnicy. Tego sam nigdy nie widziałem, ale często o takich wypadkach słyszałem.

— *Relata refero.*

Nie mogę tu zamilczeć o zabawnym wypadku, jaki miałem raz z dropiami.

Będąc młodym chłopcem, bawiłem na wakacyach u mego szwagra na Podolu rosyjskiem. Raz dają znać, że niedaleko od dworu są dropie. Mój szwagier radzi mi wziąć konia spokojnego, jak ręczył, nie bojącego się strzału wierzchowca, ubrać się po chłopsku i w ten sposób podjechać dropie. Nie trzeba było mi tego dwa razy powtarzać i w kwadrans później wyjeżdżałem z domu na siwej, starej szkapie, ubrany w szarą kitkę, ze strzelbą w ręku. Wkrótce ujrzałem stado złożone z siedmiu dropi. Serce biło mi jak młotem — nigdy nie zabiłem dropia — Objeżdżałem spokojnie, stojące i pilnie śledzące moje ruchy ptaki i w końcu udało mi się podjechać na kroków pięćdziesiąt. Konia wstrzymałem, wypuściłem cugle i złożyłem się. Strzał miałem niewygodny, bo w chwili mierzenia koń się odwrócił; musiałem się cały na siodle wykręcić. Dropie stały ciągle spokojnie i przypatrywały się moim ewolucyom. Strzeliłem w końcu, ale nim mogłem pomyśleć co się stało, leżałem już na ziemi i zobaczyłem nad głową świstające kopyta mego nieoszacowanego konia. Potłukłem się strasznie, gdyż upadłem na strzelbę, która drugi raz wypaliła i złamała się w dwóch miejscach. Podniósłszy głowę ujrzałem przed sobą znikające na horyzoncie nienaruszone stadko dropi za sobą zaś mego araba, który już do bramy parku dobiegał i jeszcze od czasu do czasu z radości czy z irytacyi wysoko wywierzgiwał. Tak się zakończyło to moje pierwsze niefortunne spotkanie się z dropiami.

Dokończenie nastąpi.

Polowanie na dropie i hodowla dropia w niewoli.

Polowanie na dropie nie da się ująć w żadne stałe reguły, jest więcej dorywcze i przypadkowe, a po największej części zawodne. Wspaniały ten ptak przebywa tylko na otwartych równinach, jest nadzwyczaj ostrożny i ma wzrok, który z daleka pozwala mu spostrzedz zbliżające się niebezpieczeństwo. Przez nabyte doświadczenie umie rozróżnić w człowieku myśliwego, bądź to dojrzawszy broń, którą niesie, bądź też z ubioru i ruchów odgadnie kto myśliwy, a kto mu szkodzić nie zamierza. Przebranie się w strój chłopski nie na wiele się przyda, bo chociaż drop nieraz pozwala się zbliżyć chłopu na kilkanaście kroków, jednak, gdy tenże uzbroi się w strzelbę, drop ucieka od niego na paręset kroków. Polowanie na dropie z chartami, chociaż poparte przez powagi w dziedzinie ornitologii, bo i śp. hr. Pietruski, jak również hr. Wodzicki o tem wspominają, chociaż jak przyznają sami, naocznie się o tem nie przekonali, według mego doświadczenia należy do bajek, na których brak w myślistwie uskarżać się nie można. Drop należy wprawdzie do biegusów, choć niektórzy ornitologowie stawią go w rzędzie brodźców, ale nie pozbawiony jest przytem lotu tak jak struś lub kazuar, owszem ma lot wytrwały i z największą łatwością może się z miejsca zerwać nie potrzebując do tego, tak jak niektóre utrzymują biedz czas dłuższy dla nadania sobie rozmachu. Wprawdzie czyni to drop nieraz, ale nie na tak długiej przestrzeni, by mógł być przez psy dopędzony, najwyżej podbiega parę kroków, ale i bez tego obejść się może, gdyż napadnięty znienacka zrywa się z miejsca, a to w ten sposób, że rospostarłszy skrzydła pochyla jedno ukośnie do ziemi, robi nagły obrót na miejscu i niejako w linii śrubowej wznosi się w górę. Być może, że niekiedy zdarzyło się komu młode dropie, które latać jeszcze nie mogły uczczuć chartami lub zbarczonego starego wzięły gdzie charty przypadkiem, a stąd urosła bajka o polowaniu na dropie z psami. Utrzymują również, że na Węgrzech, na Ukrainie zimową porą polują na dropie z chartami, a to wtedy, gdy po słocie chwyci mróz i dropie obmarzną. Jeżeli ptak może obmarznąć to w istocie możliwem jest takie polowanie, ale mnie nie zdarzyło się widzieć ani obmokniętej kaczki, ani obmarzniętej kuropatwy lub innego ptaka. Może być, że jakiś chory osobnik pozbawiony elastyczności piór wskutek choroby obmokł kiedy, a następnie obmarzł, wątpię jednak, by na zdrowym ptaku mogło się to kiedy zdarzyć. Widziałem niedawno w ilustracyach niemieckich rycinę przedstawiającą polowanie na dropie kozaków dońskich nie z psami już, ale po prostu z nahajkami. Możebneby to było tylko, jak wspomiałem, na dropie, które jeszcze latać nie mogą, ale tu nastręcza się inna trudność. Dropie gnieżdżą się pojedyńczo i niosą najwyżej 4 jaja, zwykle

jednak dwa; dopóki młode nie wyrosną i nie nabiorą wprawy w lataniu nie gromadzą się w stada, lecz żyją rozprószone po zbożach lub krzakach, gdzie ich dojrzeć nie podobna. Za zbliżeniem się niebezpieczeństwa, młody drop, jak o tem naocznie się przekonałem, przywaruje do ziemi i można go nastąpić, zanim się ruszy, to samo czyni i stara, która trzyma się w pobliżu młodych. Dlatego to w okolicy, w której dropie dość licznie się gnieżdżą, przed żniwami rzadko bardzo można się z niemi spotkać, tak prawie, jakby ich w tej okolicy zupełnie nie było, tylko wczesnym rankiem lub nad samym wieczorem przelatują niekiedy pojedyńczo stare dropie z miejsca na miejsce dla żeru. Polowanie nawet na podloty z psami lub nahajką jest według mego zdania utworem fantazyi. Młode dropie z początkiem lipca są już zupełnie rozwinięte i niczem zdaleka od starych się nie różnią; wtedy to zaczynają gromadzić się w stada, które nawet u nas na Podolu nierzadko do 50 sztuk dochodzą. Są wtedy ostrożne i podejść się na strzał nie dadzą. Można wtedy przy współudziale licznego grona myśliwych obłożyć stado dokoła i ruszywszy je strzelać do przelatujących dropi, lecz takie polowanie wielce niepewne i ambarasowne nie wielu znajdzie amatorów. Zwykle, zanim na upatrzone stado zbiorą się myśliwi, dropie przenoszą się na inne miejsce, a i przy samym obkładaniu stada trzeba bardzo się ostrożnie zachować, nie podjeżdżać zbyt blisko, bo dropie spostrzegą wnet niebezpieczeństwo i odlecą. Strzelanie kulami ze sztućca nastręcza w porze jesiennej niebezpieczeństwo postrzelenia ludzi pracujących w polu i trzeba być bardzo wprawnym strzelcem, by na 200 lub więcej kroków trafić dropia kulą. Próbowałem strzelać do dropi z konia, lecz to mi się nie udawało. Trzeba wielkiej do tego wprawy, by w cwale trafić do lecących dropi, gdyż, jak wyżej nadmieniłem, one nigdy przed lotem na piechotę nie uciekają, lecz zrywają się odrazu do lotu. Raz korzystając z terenu podjechałem stado dropi nie więcej jak na sto kroków nie będąc przez nie widzianym, z punktu tego wypuściłem konia w cwał i gotowy do strzału wjechałem w środek stada. Dropie przestraszone zrywały się szybko w górę; strzeliłem z boku do najbliższego, lecz widać, że za blisko uszów konia były końce lufek mej dubeltówki, bo tenże rzucił się gwałtownie w bok, a rezultatem tego było, że obłocony i potłuczony z połamaną strzelbą wracałem pieszo do domu, rozważając przez drogę, że polowanie takie niekoniecznie przyjemnie się kończy. Po tym wypadku jednak doszedłem niezbicie do przekonania, że drop zrywa się z miejsca do góry, robiąc, jak powiedziałem, charakterystyczny obrót na miejscu ze skośnie do ziemi ustawionemi skrzydłami. Inny jednak rodzaj polowania, chociaż z końmi, nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa, a w rezultacie nadaje się jako jedyny rodzaj polowania na dropie, który do pomyślnych rezultatów prowadzi. Polując tak, jak jak to zaraz opiszę, zabiłem kilkanaście sztuk dropi. — Sposób ten polega na tem, że mysliwy wybiera się na polowanie konno, zabierając ze sobą sprytnego chłopaka również na koniu. Przyjechawszy w miejsce, na którem spodziewamy się zastać dropie, przepatruje się dobrze okolicę czy nie widać gdzie stada, jeżeli kto nie ma wprawy do tego dobrze mieć lornetę polową, gdyż dropi w jesieni na szarem tle trudno z daleka dopatrzeć. Gdy się spostrzeże je, wtedy podjeżdża się na taką odległość, by i one myśliwych widzieć mogły, jednak nie zbyt blisko, by dropie zbytnio nie niepokoić. Rozpatrzywszy z tego punktu teren trzeba się oddalić, by niespostrzeżenie dołami objeżdżać dropie ze strony przeciwnej. Teraz dojeżdża się o ile tylko można jak najbliżej dropi tak jednak, by one nie mogły jeźdców widzieć, znajomość więc terenu jest do tego wielce potrzebną. Gdy podjechało się już tak blisko, jak to jest możebne, wtedy myśliwy zsiada z konia, oddaje go chłopcu, który wraca znów tą samą drogą na miejsce, na którem wpierw obserwowało się dropie; myśliwy o ile możności starać się powinien, by był od strony dropi zakryty jakąkolwiek wyniosłością: kopcem, rowem, burzanem itp. Chłopak dojechawszy na koniu na miejsce, z którego się dropie obserwowało, zaczyna stępo podjeżdżać do nich defilując tam i sam przed niemi. One usuwają się wciąż naprzód zbliżając się powoli w kierunku ukrytego myśliwego, w końcu przychodzą na strzał. Zdarza się często, że dropie, bądź spostrzegłszy poprzedni manewr, bądź też, że chłopak zanadto blisko na nie najeżdża, zrywają się i lecą nie w kierunku, w którym myśliwy się ukrył. Lecz wówczas polowanie nie jest skończone, bo można je znowu podjeżdżać, w końcu zawsze prawie z dobrym rezultatem. Polowanie takie ma pewien urok; objazd można uskuteczniać kłusem lub galopem, a tylko samo naganianie musi jak najwolniej postępować. Polując w ten sposób raz mi się zdarzyło zabić 4 dropie w jednym dniu. Mięso dropia nie nadaje się prawie do jedzenia, kto je raz próbowa nie wiem, czy drugi raz je zechce, choćby nie wiem w jaki sposób było przyrządzone, jeszcze najlepsze jest w marynacie podane na zimno. Czuć go jednak zawsze nieprzyjemnie, którą to woń wydaje tłuszcz nieraz bardzo obficie nagromadzony. — Stare samce w późnej jesieni dosięgają wagi 18 klgr.

Drop, jak wiadomo, należy do biegusów, nie jest więc jak to wielu sądzi z rodzaju grzebiących, (nawet Lineusz zaliczył błędnie, dropia do grzebiących, Cuvier stawi go w rzędzie brodzących, a Temmincka w rzędzie biegusów), do których kury należą; nie żywi się wcale ziarnem, choćby najwięcej był głodnym. Głównem pożywieniem dropia są liście zielone traw i chwastów, a najulubieńszym pokarmem liście rzepaku i ognichy (sweryp a), nie gardzi jednak robakami i myszami; przeważnem pożywieniem młodych są robaki i owady wszelkiego rodzaju.

Dropie w Galicyi nie zimują, trzymają się jednak w miejscowościach, gdzie sieją rzepaki. Nieraz do końca grudnia nie obawiają się najtęższych mrozów, tylko wielkie śniegi lub skorupa śnieżna, która nie pozwala im dostać się do zielonych liści zmusza je w końcu do odlotu. W Węgrzech południowych przebywają całą zimę. Przylatują w kwietniu, ale wtedy trzymają się parami i rzadko je widzieć można; gdy zboża podrosną, prawie się ich nigdy nie widzi. Mieszkając w okolicy obfitej w dropie przez lat parę, chiałem koniecznie dostać młodego dropia lub jaj, lecz pomimo, że wyznaczyłem stosunkowo znaczną nagrodę temu, kto mi jednego lub drugich dostarczy, dłuższy czas czekałem nadaremnie. Mówili mi chłopi, że samica dropia za zbliżeniem się człowieka zabiera jaja pod skrzydła i wymyka się niespostrzeżenie piechotą. O ile ta bajka zasługuje na wiarę, nie wiem, fakt jednak, że pod pachami dropia znajdują się otwory, w które wygodnie po dwa jaja indycze zmieścić można. Jaj dropich nie widziałem, po dłuższym jednak staraniu udało mi się dostać młodego. Było to w początkach czerwca. Przyniesiono młodego dropia wielkości kury, był już dobrze opierzony. Żywiłem go z początku dżownicami, które z chciwością połykał tak, że trudno

było mu ich dostarczyć; próbowałem więc dawać surowe mięso i gdy przekonałem się, że je ze smakiem połyka, kazałem go niem karmić. Owczarki mieli polecone, by z padłych owiec dostarczać dropiowi baraniny, którą też raczył się do woli, dla odmiany jadł i cielęcinę, gdy mu jej dawano, lecz chociaż chodził wolno sam jej nie zrywał, wolał czekać na mięso, w którem bardzo smakował. Rósł jak na drożdżach; z początkiem lipca zaczął podlatywać, chodził gdzie chciał wolno, tylko na noc zapędzano go do obszernego kojca, stojącego koło domu, niechętnie jednak tam zachodził. Na zawołanie przybiegał zaraz, a rano czatował pod mojem oknem, gdzie mu zawsze dawałem kawałek bułki z kawą, którą bardzo lubiał. Gdy był głodny podchodził do drzwi lub okna i wydawał ciche, żałośne jęki. Jadł wszystkie potrawy z wyjątkiem surowego zboża.

W tej okolicy nieraz łapano młode dropie, ale zawsze zaczynano je karmić pszenicą, to też do dwóch dni zdychały. W późnej jesieni drop mój zaczął być niespokojnym, wylatywał poza obręb folwarku i już nieraz myślałem, że zginie, lecz jakoś zawsze go nazad przypędzano. Te jednak wycieczki nie długo trwały, w ogóle niechętnie się zrywał, podlatywał najwyżej paręset kroków i nigdy wyżej dwóch metrów do góry się nie wznosił.

W drugim roku wcale nie próbował latać. Był to samiec; na wiosnę dostał po obu bokach nozdrzy piękne faworyty i wtedy wyglądał wspaniale. Gdy zobaczył wiejskie dzieci, podchodził do nich wyprawiając pocieszne skoki i rozpuszczając ogon, robiąc rozmaite grymasy, obchodził je do koła, poznawszy jednak, że to nie dropie oddalał się smutny nazad. Zimę przepędzał na dworze, bądź w kuchni. Na noc zawsze siadał na samym środku izby, kilka razy z tego powodu mało go parobcy nie rozdeptali. Na głos przybiegał z najdalszych kątów, dał się głaskać i chodził za mną jak pies. Jakby na urągowisko dla myśliwego, w trzecim roku w lecie zjadły go lisy w kojcu, do którego tak niechętnie dał się zaganiać. Widać cała lisia rodzina wyprawiła sobie ucztę tuż pod mojem oknem, gdyż tylko głowa i pierze w kojcu zostały. Zrazu myślałem, że to wiejskie kundle pożarły go, lecz na szczeblach kojca zostało trochę sierści lisiej, zresztą szczeble były za gęste, aby pomiędzy nimi mógł pies się przedostać. Wyjechawszy z okolicy, gdzie dropie się gnieżdżą, nie miałem więcej sposobności wychować i obłaskawić drugiego.

W dziełach ś. p. hr. Pietruskiego jest wzmianka, że w dawnej Polsce na Ukrainie i Podolu chowano dropie po dworach całemi stadami, a nawet je kapłonowano. Wobec tego, com przy chowie dropia doświadczył, zdaje mi się, że niewiele w tem prawdy. Czy dropie w niewoli się mnożą stanowczo nie wiem, lecz zdaje mi się, że prędzej nie. Jestto ptak, który przedewszystkiem lubi otwarte i wielkie przestrzenie, chociaż oswaja się prędko, jednak nie pozbywa się swoich nawyknień. Wątpię czyby mógł w kurniku się gnieździć, a choćby i tak było, to mała jego niosność jaj nie nadawałaby się do rozmnażania go w niewoli. Zresztą chów dropia nie przedstawiałby żadnego celu, bo, jak nadmieniłem, mięso dropia jest niesmacznem, ale może co do tego gusta się zmieniają, bo spotykałem się u wielu autorów ze zdaniem przeciwnem. Na przeszkodzie hodowli dropi staje jednak ich żarłoczność i rodzaj karmy; w zimie szczególniej co dawać stadu dropi? Jednego lub parę chowanych dla przyjemności można żywić odpadkami z kuchni, lecz całemu stadu trudno dostarczać mięsa i jarzyn. Gotowanych kartofli nie chce jeść drop, bo mu się dziób zakleja, najlepiejby było piec chleb i dawać go dropiom, wątpię jednak czyby to się opłacało.

Żarłoczność dropia jest wielką, na dzień może zjeść trzy kilgr. jakiegokolwiek mięsa. Żołądek jego jest tak wielki jak u żadnych innych ptaków, napakowany liśćmi rzepaku, dorównywuje niemal cielęcemu.

Jako ozdoba dziedzińców dworskich pojedyńczo drop może być łatwo chowany, bo i oswaja się prędko, nie ucieka, puszczony na wolność jest łagodny i żyje ze wszystkimi w zgodzie, nie tak jak jego bliski krewny żuraw, który się prędko oswaja, lecz w niewoli napastuje wszystko i może być dla dzieci bardzo niebezpiecznym. Ktoby dostał młodego dropia i chciał go chować, niech nie zapomina, że trzeba go żywić mięsem a nie ziarnem.

Trościaniec dnia 15 stycznia 1898.

J. Starkiewicz.

STARY DZIK.

Ciąg dalszy.

— Wytchną przez noc...

Sikorka przestąpił z nogi na nogę.

— No? — zapytał pan Piotr.

— Młode byłyby lepsze... Darmo tylko owies jedzą..,

Pan Piotr jednak przyzwyczaił się do starych siwków i nie dopuszczał nawet myśli, że młode mogą być lepsze.

— Będziemy się gdzieś w tyle kręcili...

— Przecież poczekają... Nie porzucą — znowu przerwał mu pan Piotr głosem, na dźwięk którego Sikorka odrazu zrozumiał, że w istocie palnął jakieś głupstwo.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Sztucer w porządku?

— W porządku.

— Więc jutro wcześnie... A Łukasz czeka na odpowiedź?

— Czeka.

— To mu powiedz, że się kłaniam i dziękuję. Jutro rano będę.

Sikorka wyszedł, a pan Piotr pozostał sam.

Tak, sprawa ułożyła się fatalnie... Gdyby jego strzelcy nie byli wypuścili niedźwiedzia z rąk, byłoby inne polowanie.

Pan Piotr przeszedł się kilka razy po pokoju.

Czas już było położyć się spać — ale zasypiać w czas już mu się nie udawało od dawna.

Zatrzymał się znowu przy oknie i zamyślił się.

Księżyc świecił po dawnemu, i po dawnemu zalewał światłem i sadzawkę i starą, przyozdobioną szronem lipę i ogród i daleki, ponury las.

Obrazy przeszłości, dalekiej przeszłości, zaczęły się przesuwać w jego pamięci.

Tak, tutaj pod tą lipą bawili się z księciem. Maleńka siostrzyczka księcia także się z nimi bawiła... Nie uważano jej za rówieśniczkę; dopuszczano ją tylko z łaski do zabawy... ale umiała już komenderować i wydawać rozkazy.

Jej wielkie czarne oczy pierwsze zauważyły brak nadzoru i ona pierwsza wydawała okrzyk radości na jakiś czyn bohaterski... A gdy ten czyn udawał się w zupełności klaskała w dłonie maleńkie i zanosiła się niepowstrzymanym, dziecęcym śmiechem.

Obrazy przeszłości powstawały w jego umyśle coraz żywsze i jaskrawsze.

Jak wielkim wydawał się wtedy ogród!... Ale ten wielki ogród był jednak jeszcze za mały dla ich wycieczek, to też przenosili się do lasu.

Pan Piotr przypomniał sobie jedną z takich wycieczek.

Trzeba się było dostać między drzewa owocowe w ogrodzie, ale prostą drogą pójść tam było niepodobieństwem, gdyż znaczyło, że ich natychmiast zatrzymają i traktować będą jak przemytników, zanim jeszcze zdołają się dotknąć zakazanego owocu.

Należało więc iść dokoła. Trzeba było wyjść z ogrodu prześlizgnąć się przez furtkę do lasu i lasem przebrać się przez znaną wprawdzie, ale przykrą ścieżynę.

Strasznie w lesie, to prawda, ale w tem spoczywa właśnie cały urok.

Maleńkie towarzystwo odważnie puściło się w drogę, w miarę jednak zbliżania się do wyjścia odwaga ta zaczyna słabnąć, znikać..

Kroki stają się powolniejsze, głosy zmieniają się w szept, i wreszcie milkną zupełnie.

Książe idzie z tyłu. Siostrzyczka w milczeniu chowa się za kurtkę pana Piotra i nie puszcza jej z ręki ani na chwilę.

Powracać jeszcze straszniej. Zbrodnia, dopiero co popełniona, przygniata sumienie, ale i ponury las napawa ich zgrozą.

Nagle dziewczynka wydaje okrzyk... skaleczyła sobie nogę... Nie płacze, ale iść nie może.

Pan Piotr bierze ją ostrożnie na ręce i niesie. Obejmuje jego szyję swemi maleńkiemi rączętami i przyciska główkę do jego szyi.

— Boli cię?... Boisz się? — pyta pan Piotr.

Nie odpowiada ale rączęta jej zaciskają się jeszcze silniej, przytula się do niego jeszcze sesrdeczniej.

Niema jej już... już umarła.

Tęczowy obraz pięknego dziewczęcia powstaje jak żywy przed oczyma jego duszy, przyciemnia sobą inne widzenia, a w blasku nocy zimowej widzi pan Piotr cudne czarne oczy, słyszy dźwięczny, pełen czułości, miękki głos.

Jak on ją kochał! Jak on ją ubóstwiał!

Nowy obraz powstaje w jego pamięci.

Duszne, palące południe. Wspaniały ogród książęcy drzemie w spiekocie. Ani jedna gałązka, ani jeden listek nie zadrga, nie poruszy się.

Stała na tarasie i przez klomb, zasiany kwiatami, patrzyła zadumana w chłodną dal odwiecznej alei.

Postanowił otworzyć przed nią głębie swego miłością przepełnionego serca

— Chodźmy — rzekł — chcę pani powiedzieć parę słów..

Spojrzała na niego zalękłym, zakłopotanym wzrokiem.

Czekał.

Oprzytomiała wkrótce.

— Chodźmy — rzekła pewnym głosem. — I ja także mam panu powiedzieć kilka słów.

Wzięła go pod ramię. Zeszli z tarasu i weszli w aleję.

Zaczęła mówić pierwsza i opowiedziała mu, że kocha, że oddała swoje serce.

Przybity, zgnębiony słuchał jej opowiadania i był przekonany, że ten, który stał się wybrańcem jej serca, nie wart był tego. Chciał paść przed nią na kolana i błagać i zaklinać ją. Ale czyż do tej chwili była choć jedna minuta w jego życiu, w którejby nie znajdował się u jej nóg?!... I czyż ona o tem nie wiedziała!

— Ojciec pani nie zgodzi się na to małżeństwo — rzekł sucho.

— Wiem o tem. Uciekniemy.

— Tak?

Pójść, nazwać go łotrem z pod ciemnej gwiazdy, zabić go, zadusić własnemi rękami było pierwszą myślą pana Piotra... Ale to mogłoby strzaskać jej serce!... To nie zmusi jej do pokochania go.

— Ojciec pani nigdy ci tego nie przebaczy — rzekł znowu oschle po chwili.

Była o tem przekonaną i właśnie bolała nad tem.

— Rodzina będzie oburzona takim postępkiem pani.

— Co mi do niej!

— To dotknie do głębi pani szczerych przyjaciół!

Nerwowo ścisnęła go za rękę, jakby błagając go, aby nie mówił dalej w podobny sposób.

— Oni również nigdy... nigdy nie przebaczą pani tego.

— A pan, mój przyjacielu, mój drogi przyjacielu, czy także mi nigdy tego nie przebaczysz? — zapytała, zatrzymując się nagle i patrząc na niego oczami pełnemi łez.

Cóż mógł jej na to odpowiedzieć? Czyż nie rozbiła jego szczęścia? I kogoż to ona przeniosła nad niego?

Już się więcej nigdy nie spotkali.

Całemi latami cierpień okupiła swój błąd i umarła w dali od wszystkich, którzy ją kochali. Cierpiała w milczeniu. Nie chciała dzielić swej boleści z innymi, nie chciała przyznać się do tego, że cierpi...

Cierpiała długo... śmierć nie przychodzi na zawołanie.

A on?... Czyż on takze nie cierpiał?

— Czas spać! — przerwał nagle pan Piotr swoje dumania i odstąpił od okna

Zostało po niej dziecko... Książę mówił z nim coś o pogodzeniu się o pojednaniu z ojcem, dla chłopca...

— Spać, czas spać — powtórzył jeszcze raz pan Piotr, jakby chcąc strząsnąć z siebie wszystkie swoje wspomnienia.

Podszedł do stołu... Wśród stosów gazet leżał świeży, nierozcięty jeszcze numer *Tygodnika illustrowanego.*

Pan Piotr zerwał opaskę i przeciął numer. W oczy wpadł mu w szeregu wierszy, mały wiersz, widocznie poezja.

„Jakże piękne, jak świeże były róże...“ przeczytał i zamyślił się znowu.

Następnego dnia, gdy pan Piotr przyjechał do księcia towarzystwo znajdowało się już w komplecie. Większa część gości przyjechała już poprzedniego dnia wieczorem.

Pan Piotr, mimo krótkiego snu, czuł się doskonale, a nastrój jego ducha był daleko lepszym niż zwykle.

Prawda, spotkał wielkie towarzystwo i mimowoli się nachmurzył, — ale oczekiwał, spodziewał się tego... Wie-

dział o tem naprzód i to wcale nie zepsuło mu dobrego humoru, chociaż obecność niektórych osób drażniła go.

Książę był grzeczny i uprzedzająco uprzejmy, o ile tylko był w stanie być nim. Nie zostawiał go ani na chwilę samego i ciągle był przy nim, jak przy najwięcej szanowanym i poważanym gościu.

Pan Piotr przyjmował te grzeczności jako coś obowiązkowego, jako coś, do czego już przywykł, a ładnieby spojrzał, gdyby książę, albo też ktoś inny ośmielił się zachowywać inaczej!

Wśród wybierających się na polowanie znajdowało się pięciu, sześciu prawdziwych, dzielnych, myśliwych. Byli to po większej części ludzie starsi, okoliczni właściciele wiosek. Gdyby polowanie urządzał pan Piotr, zaprosiłby ich także, to też cieszył się z spotkania z nimi. Innych ignorował i był dla nich tylko uprzejmy, ale nic po nadto.

— Ah, doktor, i pan tutaj? Pan także jedzie?

Doktor zakłopotał się cokolwiek.

— Tak, jadę także.

Pan Piotr nie wiedział, że on także jest myśliwym.

Książę pospieszył wmięszać się do rozmowy. Zapomniał się zapytać, czego sobie życzy: kawy czy herbaty.

— Wszystko jedno.. Ale czy nas to nie zatrzyma? Aby się tylko nie spóźnić!

— Jakieś tam półgodziny nic nie znaczy przecież.

Podczas gdy pan Piotr pił herbatę, dokoła niego panowało to zamięszanie, które zawsze powstaje, gdy myśliwi wybierają się na polowanie. Pan Piotr patrzył roztargniony po gościach.

Iluż z nich uważał w tem kole za zbytecznych!

Ciąg dalszy nastąpi.

KORESPONDENCYE.

Rzeszów w lutym.

(Z polowań).

Dnia 29 stycznia korzystając z nieobowiązującej jeszcze ustawy łowieckiej zapolowaliśmy sobie w 10 strzelb w Krasnem u p. F. Bielańskiej. W 3 drukerach i dwóch kociołkach padło 56 zajęcy, a mogło było 2 razy tyle paść, gdyby tak drukery jak i kociołki były mniejsze, bo wskutek tego mniejby przed zajściem nagonki wyszło z miotu zajęcy; powtóre zaś, gdybyśmy byli wszyscy nieco celniej lufy nadstawiali. Jeden z myśliwych przywiózł ze sobą nieoszacowanego pieska, który ośm zajęcy uratował od zaguby, aportując każdego postrzelonego. Każdy z nas nastrzelał się i jeżeli dobrze zakładał ostro na mrozie idącym zającom to i dosyć zabił, tembardziej, że uprzejmy gospodarz świetnie prowadząc polowanie, nikomu krzywdy nie wyrządził. Dodawszy do tego dobre i obfite śniadanie i smaczniejszy jeszcze obiadek, mamy wzór najmilszej ochoty myśliwskiej. To też każdy z nas, którzyśmy byli na tych miłych łowach w czasie ogórkowym, w którym tylko na kołku strzelbę oglądać można, a wyobraźnię żywić miłemi wspomnieniami z ubiegłego sezonu z przyjemnością wspominać będzie miłe chwile spędzone na polach kraśnieńskich, licznie zamieszkałych przez długosłuche kopyry.

Nic więc dziwnego, że każdy nasyciwszy żyłkę myśliwską i wilczy apetyt opuszczał dom ten znany ze staropolskiej gościnności z serdecznem „Bóg zapłać“ na ustach i z gorącem pragnieniem w duszy: „Do widzenia druhowie strzelcy na śniegu za kilka miesięcy“.

Zdawszy sprawozdanie z polowania w Krasnem, nie mogę pominąć o wielkiej obfitości zajęcy w Zalesiu u p. B. Gumińskiej. Pominąwszy, że w jesieni prawie co soboty po południu strzelaliśmy po kilka zajęcy, a któreto strzelanie najszkodliwsze jest dla zwierzyny, bo najwięcej tejże wyniszczy, to nadto na wilię w 3 strzelby ubito 24 zajęcy a przed tygodniem w dwie godziny ubiliśmy 11, ile zaś poszło chybionych, o tem lepiej nie mówić. Że zaś w pow. rzeszowskim jest tyle zwierzyny i że na polowaniu każdem strzelają po kilkadziesiąt zajęcy, a nawet po kilkanaście rogaczy, to mamy do zawdzięczenia naszemu staroście panu Fedorowiczowi, który sam będąc myśliwym, energicznie wytępił kłusownictwo i nie lekceważy sobie spraw tyczących się łowiectwa i zwierzyny. Daj nam Boże takich jak najwięcej!

A. Łastowiecki.

Batiatycze w grudniu 1897.

Pośpieszam, by choć kilku słowy podzielić się z *Łowcem* wiadomością, o naszych tu bardzo a bardzo opłakanych stosunkach myśliwskich. Zaczynam od Batiatycz, które obecnie po 3 latach o tyle przyszły do porządku, że biedny zając przestał być tym strasznym zwierzem — na którego czekała cała falanga kłusowników i łapaczy na sidełka. Z pomocą pana starosty z Żółkwi, który sam jest zawołanym myśliwym, udało się powstrzymać formalny rozbój na wszelką zwierzynę przez kłusowników mistrzowsko prowadzony.

To też stan zwierzyny szczególnie kuropatw i zajęcy podniósł się mimo bardzo mokrej wiosny i lata — a nawet i z rogaczami spotkać się można. Batiatycze posiadają śliczny teren myśliwski pagórkowaty do południa, a obszar około 10.000 morgów wraz z gminą, którą dzierżawię. Sąsiedztwo Batiatycz jest może najfatalniejsze w powiecie i tak gminy Rożanka (część) Zdeszów, Strzemień, Kopiczwola (śliczny teren), Zluniów (nieszczególny) Rudolfshof, Krasica, Starawieś, Zubówmosty itd., są to wsi bezpańskie — a chłopi i Niemcy polują o każdej porze i co granicę przejdzie ginie w nocy, szczególniej w porze zimowej. — Ogromnych też wysiłków potrzeba, by choć nieco dopilnować, na tak dużym terenie. Żandarmerya oddalona o 18 kilometrów, żadnej pomocy udzielić nie może, Jedynie jeszcze pomocnym jest pełnomocnik hr. Andrzeja Potockiego, a nasz delegat pan Drachanowski, który nie szczędzi kosztów, by podnieść stan zwierzyny — tępić kłusownictwo, ale przysłowie „nec hercules, contra plures“ w całej osnowie da się tu zastosować. Polowania w ościennych majątkach jak Mosty wiel-

kie, Rychliniec u pp. Lewandowskich — odbywają się prawidłowo parę razy do roku w porach przepisanych.

Co do delegatów na powiat żółkiewski to po dziś dzień jeszcześmy się razem nie zebrali. Myślę jednak, że się to niedługo stanie, bo wszyscy są zawołani myśliwi, — a dla spraw łowieckich i podniesienia stanu tej pięknej gałęzi gospodarstwa krajowego jak najlepszemi chęciami ożywieni.

Tadeusz Romanowski.
delegat Tow. Łow.

SPRAWOZDANIA DELEGATÓW.

Z Galicyi.

Powiat drohobycki.

Majątek Rychcice i Gaje, własność Juliusza hr. Bielskiego, obszaru 9000 morgów. W majątkach tych stan dzików i sarn był dawniej świetny, dziś skutkiem klęsk elementarnych średni. Zajęcy dosyć, lisów również, natomiast bardzo mało cietrzewi i kuropatw. Bardzo piękne, w kszyki obfitujące błota. Właściciel jest sam myśliwym. Polowania odbywają się najwyżej raz w roku w każdym rewirze, zwykle tylko co drugi rok się poluje. Szkodniki się tępi. Karmę w zimie podaje się zwierzynie. Straż łowiecka sprężysta.

Majątek Śniatynka, własność hr. Stanisława Tarnowskiego, obszaru 2800 morgów. Właściciel sam jest myśliwym. Sarn wiele, zajęcy stan średni, szkodniki tępi się pilnie. Karma w zimie się podaje. Sprawy łowieckie otoczone są w całym majątku sprężystą opieką. Polowanie odbywa się raz do roku w każdym rewirze.

Majątek Wróblowice, obszaru 1500 morgów, hr. St. Tarnowskiego. Sarn mało, zajęcy stan średni. Polowania raz do roku.

Majątek Dobrowlany, obszaru 400 morgów. Sarn i zajęcy bardzo mało, przeważnie tylko przechodnie. Ponieważ właściciel nie jest myśliwym, przeto polowania odbywają się bez ściśle oznaczonego programu w jednym roku częściej, w drugim rzadziej. Opieki nad zwierzostanem nie ma wcale. Kłusownictwo kwitnie w najlepsze.

Majątek Rolów i Bojary, obszaru 700 morgów. właściciel Stefan Firlej, myśliwy. Sarn i zajęcy mało. Polowania kilka razy do roku bez systemu.

Majątek Słońsko i Opary, obszar 2600 morgów. Polowanie dzierżawi spółka myśliwska. Przechodnie dziki. Sarn i zajęcy stan średni O polowaniach nic powiedzieć dotąd nie można, gdyż spółka dopiero 1 rok istnieje.

Majątek Bilcze, Letnia i Medenice, 1200 morgów, właściciel Kolischer i Spka. Dziki są stałe. Sarn dosyć. Zajęcy mało. Polowania odbywają się regularnie. W zimie podaje się zwierzynie karmę. Straż łowiecka dobrze zorganizowana. Bardzo piękne błota.

Majątek Nowoszyce i Bronica, 3000 morgów. Polowanie dzierżawi spółka myśliwska. Zwierzyny mało bez należytej opieki.

Juliusz Bielski.

Powiat rohatyński.

Majątek Psary, 4000 morgów, właścicielka Wilma hr. Reyowa. Zwierzostan wyjątkowo obfity. Są sarny, lisy, również polowania błotne. Polowania odbywają się kilka razy do roku. W kniei 400 morgowej liczyć można sto sztuk sarn stałych — oprócz innego zwierza.

Majątek Knihynicze, właściciel Władysław Tustanowski, myśliwy. W rewirach sarny, zające, lisy. Na stawie świetne polowania na kaczki. Poluje się tylko na kuchnię.

Majątek Załanów, 4000 morgów, właściciel Franciszek Jaruntowski, myśliwy. Wzorowe jest łowiectwo. Są dziki, sarny, lisy, zające i jarząbki. Polowanie raz na rok. Od lat kilku, dzięki staraniom właściciela, stan zwierzyny podnosi się ustawicznie.

Majątek Rohatyn, 5000 morgów, właścicielka hr. Krasińska. Stan zwierzyny mógłby być świetny. Są dziki, sarny, lisy, zające. Polowań niema, poluje tylko straż. Nic mi nie wiadomo, aby teraźniejsza administracya uczyniła coś pod względem łowiectwa.

Majątek Bursztvn, 5000 morgów, właściciel St. ks. Jabłonowski. Są dziki, lisy, sarny, zające, zwierzostan bardzo piękny. Polowanie odbywa się kilka razy do roku. Chociaż właściciel sam nie jest myśliwym dba jednak o zwierzostan, podnosi się on też co roku.

Majątek Podkamień, 7000 morgów, właściciel Leopold hr. Starzeński, myśliwy. Są dziki, sarny, lisy, zające, jarząbki, polowanie stawowe i błotne. Polowanie odbywa się raz w rok. Właściciel stara się usilnie o podniesienie zwierzostanu.

Majątek Lubsza, 1000 morgów, właściciel Tomasz Ujejski, myśliwy. Przechodnie dziki, sarny, lisy, zające, jarząbki. Polowanie odbywa się raz w rok. Zwierzostan podnosi się dzięki staraniom właściciela.

Majątek Mełna, 1000 morgów, właściciel Teofil Łucki, myśliwy. Przechodnie dziki — lisy, sarny, zające, jarząbki. Właściciel poluje tylko na własne potrzeby. Z powodu braku straży leśnej kłusownicy wyrządzają znaczne szkody.

Majątek Czercze, 400 morgów, właścicielka p. J. Tustanowska. Są zające i lisy. Polowania nie odbywają się się wcale. Zwierzostan bardzo słaby.

Leopold hr. Starzeński.

Sprawozdania łowieckie.

W Wiszence u p. Franciszka Stanka na polowaniu odbytem w grudniu wśród bardzo niesprzyjającej pory zabito w 12 strzelb 3 rogacze, 3 lisy, 1 jarząbka, 25 zajęcy.

W Wierzbianach i Zawadowie, własności hr. Ludwika Dębickiego na polowaniu w dniach 10. i 11. grudnia ubito w 16 strzelb 9 rogaczy, 3 lisy, 27 zajęcy. Polowanie to dzierżawi od hr. Dębickiego w roku zeszłym zawiązana spółka myśliwska. *

W ubiegłym sezonie myśliwskim od stycznia do końca grudnia z. r. na jedenastu polowaniach gremialnych, odbytych w Brodczyźnie, zajmującej 26000 morgów lasu pod zarządem p. Ignacego Frenkla. dyrektora dóbr Brody z przynależytościami ubito: 4 dziki, 10 kozłów, 6 lisów i 90 zajęcy. Właściciele nie są myśliwymi, ale p dyrektor Frenkel jako myśliwy zwierzynę szanuje i strzeże przed kłusownikami.

Dnia 11. stycznia b. r. odbyło się polowauie w 11 strzelb w Starych Brodach u p. A. Schnella w lesie wśród pól położonym, 140 morgowym. Na 22 strzałów padło 11 zajęcy i 2 lisy. Sarny wyszły nie strzelane Przed 3 ma

laty ubito w tym samym lesie 30 zajęcy, rogacza i lisa. — Ponieważ dzień był pogodny i ciepły, prawie wiosenny, zając przebywał przeważnie w polu. Właściciel myśliwy strzeże i szanuje zwierzynę.

Henryk Garwoliński
delegat brodzki.

W dobrach miżynieckich księżnej Adamowej Lubomirskiej odbyło się polowanie, które jak na rok bieżący, nie obfitujący bardzo w zwierzynę, uwieńczone zostało bardzo pomyślnym rezultatem. Polowano dwa dni w 12 strzelb i ubito 27 rogaczy, 96 zajęcy, i 5 lisów. Uprzejmość właścicielki, która polowanie w dobrach miżynieckich oddała do dyspozycyi radcy Lanikiewiczowi przyczyniła się wielce, że sproszone przez niego grono myśliwych przez dwa dni miało prawdziwą biesiadę myśliwską.

W Olejowie u Aleksandra hr. Wodzickiego polowano w dniach 19, 20 i 21 stycznia i w 9 strzelb zabito 196 zajęcy, 21 rogaczy i 8 lisów.

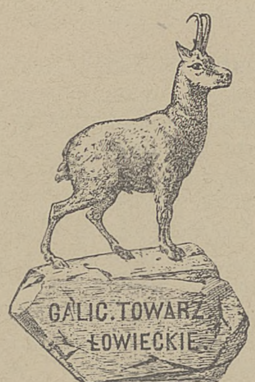
Na polowaniu w dobrach księżnej Czartoryskiej w Jabłonowie na Podolu w Galicyi, ubito w dwóch dniach w 16 strzelb 14 dzików, 26 rogaczy, 123 zajęcy i 19 lisów. Królem polowania w tych dwóch dniach był p. Z. Kęszycki z Księstwa Poznańskiego.

W Starzyskach u p. Aleksandra Weismanna, odbyło się polowanie 3. I 4. stycznia. W 15 strzelb zabito 24 rogaczy, 6 lisów, 1 cietrzewia, 1 jarząbka i 45 zajęcy. Strzałów padło 178.

*

Na polach ordynacyi łańcuckiej ubito w r. 1897 ze zwierzyny pożytecznej: 3 daniele, 20 rogaczy, 615 zajęcy, 1788 bażantów, 394 kuropatw, 271 przepiórek, 38 dubeltów, 109 kszyków, 6 słonek, 15 kaczek, 1 gołębia, 10 „Zwerghühner“. Razem 3271 sztuk. Ze zwierzyny drapieżnej: 77 lisów, 230 psów, 411 kotów, 140 łasek, 52 tchórzy, 6 kun, 1 wydrę, 111 jastrzębi dużych, 136 małych, 1 orła, 3 kruki, 2539 wron i srok. Razem 3707 sztuk.

Wł. Lewicki, łowczy.



Sprawy Towarzystwa.

Walne zgromadzenie członków galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego odbyło się we Lwowie dnia 13. lutego o godzinie 11 rano w sali Dyrekcyi domen i lasów rządowych przy ulicy Kopernika l. 20. Zebranie było dość liczne; obradom przewodniczył prezes gal. Tow. łowieckiego hr. Roman Potocki. Zagaiwszy obrady, powitał zebranych członków, poczem wspomniawszy o tem, iż wydział Tow. przedkłada Zgromadzeniu swe sprawozdanie, podniósł, że rok ubiegły był dla Tow. dość ważnym, albowiem wprowadzono kilka zmian i innowacyj, które z pewnością przyczynią się do podniesienia Towarzystwa. „Niech mi będzie wolno — rzekł — zaznaczyć tu działalność naszego wiceprezesa p. ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego który żadnego trudu nie szczędził, by do rozwoju naszego Towarzystwa się przyczynić (oklaski). Przez wprowadzenie instytucyi delegatów rozszerzono kontakt między siedzibą główną naszego Towarzystwa, a członkami, zmiana statutu ułatwi funkcyonowanie wydziału, a wprowadzenie strzelania popisowego do tarczy, również wpłynie na to, że Towarzystwo nasze nie będzie upadało, lecz przeciwnie będzie się podnosiło. Niestety, finanse naszego Towarzystwa rzeczywiście są w smutnym stanie. Jak się panowie ze sprawozdania dowiecie zakończyliśmy rok nawet deficytem, muszę jednak zaraz dodać, że liczba członków naszych tak znacznie się wzmogła, iż jest wszelka nadzieja że nietylko wydatki roku bieżącego będą opłacone, lecz że i deficyt zeszłoroczny zostanie pokryty.“

„Do Towarzystwa naszego — ciągnął hr. prezes dalej — od początku jego istnienia należy JE. Włodzimierz hr. Dzieduszycki. Nie chcę tu podnosić zasług jego około Towarzystwa położonych, są one bowiem wszystkim dostatecznie znane i dlatego pozwalam sobie imieniem wydziału zaproponować, by walne zgromadzenie zamianowało JE. hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego pierwszym członkiem honorowym naszego Towarzystwa“ (huczne oklaski).

Wniosek ten uchwalono jednogłośnie przez aklamacyę, a do JE. hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, bawiącego obecnie w Abbazii wysłano następujący telegram:

„Rozporządzając na podstawie nowego statutu po raz pierwszy godnością członka honorowego zamianowało galicyjskie Towarzystwo łowieckie na dzisiejszem posiedzeniu Waszą Ekscelencyę pierwszym członkiem honorowym, a to w uznaniu zasług niespożytych na polu łowiectwa krajowego położonych. O tem ma zaszczyt zawiadomić prezydyum Towarzystwa Waszą Ekscelencyę“. Podpisy prezesa i wiceprezesa.

Wiceprezes Towarzystwa p. ordynat Czarkowski-Golejewski zabrawszy głos podziękował serdecznie prezesowi za wyrażone mu słowa uznania, ale podniósł, iż tych słów jedynie do siebie brać nie może, albowiem wszystkie te zasługi położył wydział centralny, który nie szczędził pracy i trudów, aby Towarzystwo podnieść (oklaski).

„Ze sprawozdania przedłożonego panom — rzekł p. wiceprezes — dowiedzieliście się w jakiem stadyum Towarzystwo nasze się znajdywało, co roku zjeżdżaliśmy się tylko po to, aby obmyśleć środki celem rozwiązania Towarzystwa i zastanowienia jego dalszego bytu, lub też celem spłacenia długów. Proszę Panów, niespożyte zasługi około naszego Towarzystwa, położył nasz obecny prezes (oklaski) Od wielu lat bowiem wspierał i ratował to jedyne czasopismo łowieckie, które też skutkiem tego do dnia dzisiejszego się utrzymało. — Przy dzisiejszych warunkach organ ten ma szeroką przyszłość przed sobą, a spodziewamy się, że do podniesienia naszego Towarzystwa przyczynią się i delegaci nasi. Dawniej Towarzystwo nasze liczyło 380 członków, dziś liczy ono 604 członków, prócz tych delegatów, którzy jeszcze nie są członkami, a co do których mam nadzieję, że wstąpią do naszego Towarzystwa; wraz z tymi delegatami liczy Towarzystwo już 704 członków, co jest dość poważną liczbą, i da możność utrzymania naszego czasopisma łowieckiego na poziomie, na jakiem ono stać powinno w kraju tak łowieckim, jak Galicya. — Proszę Panów, jednak mimo tej cyfry 704 członków, dochód z ich wkładek zaledwie wystarcza nam, abyśmy koszta redakcyi opłacać mogli. My dalej sięgamy i chcemy do tego doprowadzić, by Towarzystwo nasze na wzór towarzystw zagranicznych miało strzelnicę w stołecznem mieście Lwowie, by członek towarzystwa naszego, gdy przyjedzie do Lwowa za interesami, a nie ma całego czasu zajętego nimi, mógł pójść na strzelnicę i czas spędzić przyjemnie, ćwicząc się w strzelaniu do tarczy.

„Tegoroczne zainaugurowanie strzelania do tarczy, bardzo się udało, jak na pierwszy raz. Bardzo wielu członków wzięło udział, nawet panie, co bardzo dodatnio wpłynęło na rozwój naszego Towarzystwa“.

Członek Towarz. dr. Stanisław Miziewicz odczytał protokół z ostatniego walnego zgromadzenia, odbytego w czerwcu, z. r. poczem zabrał głos prezes hr. Roman Potocki i podniósł, że wydział starał się wywiązać z polecenia, danego mu przez walne zgromadzenie w sprawie kuropatw i bażantów. W tym celu nawiązał rokowania z rozmaitemi firmami na Szląsku, Morawie i Czechach, jednak wskutek powodzi, jakie miały miejsce w tamtych okolicach, firmy nie chciały zwierzyny wysyłać, a sprowadzenie tej zwierzyny z Księstwa poznańskiego było absolutnie za drogie, gdyż żądano po 4 zł. za parę. To jednak nie przeszkadza, by w tym roku sprawę dalej prowadzić. Co do kłu-

sowników wydział czekał aż będą mianowani delegaci po powiatach, a gdy się to stało w większej części powiatów, sądzę, jeżeli delegaci zechcą się tem zająć i uwiadamiać będą o zaszłych faktach Wydział centralny, to Wydział zarządzi, co będzie odpowiednie, aby wytępić kłusowników. Co się tyczy nowej ustawy łowieckiej zawiadomił p. prezes zebranych, iż ustawa ta wejdzie w życie już z dniem 1. kwietnia br.

Protokół z ostatniego posiedzenia i sprawozdanie z czynności Wydziału w roku ubiegłym i zamknięcie rachunków przyjęło zgromadzenie bez dyskusyi do wiadomości i udzieliło na wniosek p. Krogulskiego Wydziałowi absolutoryum z czynności i rachunków. Nadto na wniosek hr. Szembeka podziękowano prezesowi i wiceprezesowi przez powstanie za gorące zajęcie się sprawami Towarzystwa i za ofiary finansowe, które ponieśli dla wyrównania deficytu Towarzystwa.

Z kolei członek Wydziału p. radca Goralczyk przedstawił preliminarz wydatków na r. 1898. Z humorem zaznaczył p. referent, iż w zestawionym przez niego preliminarzu jedna tylko pozycya jest pewną tj. pozycya niedoboru w kwocie 1954 zł., wszystkie inne pozycye mogą być tylko przypuszczalne.

Dochody preliminowano następujące: wkładki od członków i prenumeratorów 3637 zł. Nad pozycyą tą rozwinęła się szeroka dyskusya szczególnie nad sprawą rozszerzenia Łowca w Królestwie Polskiem i W. Ks. Poznańskiem. Zabierali głos pp. hr. Stefan Zamoyski, ks. Andrzej Lubomirski, ordynat Czarkowski Golejewski, dr. Niementowski, hr. Szembek, redaktor „Łowca“ Kolbuszowski, Krogulski, poczem uchwalono wniosek hr. Zamoyskiego, aby Wydział starał się o powiększenie liczby abonentów w pierwszym rzędzie w Królestwie Polskiem przez umieszczanie artykułów i inseratów w dziennikach warszawskich, następnie, aby starał się także o rozszerzenie „Łowca“ w W. Ks. Poznańskiem. Nadto uchwalono dodatek ks. Lubomirskiego, aby redakcya „Łowca“ postarała się o zamieszczanie treści numeru Łowca“ w pismach warszawskich.

Na tem też przyjęto rubrykę preliminarzowych dochodów Towarzystwa.

Preliminowane rozchody przedstawia sprawozdawca p. Goralczyk jak następuje: Koszta redakcyi 720 zł., wydatki na druki 1000 zł., honorarya autorskie 5(0 zł., prenumerata czasopism obcych 60 zł., klisze 600 zł., ekspedycya „Łowca“ 180 zł., inne wydatki w kwocie 120 zł.

Nad poszczególnemi pozycyami preliminarza wydatków wywiązała się żywa dyskusya. Przy pozycyi koszta redakcyi dr. Niementowski wypowiedział kilka bardzo cennych uwag w kierunku rozszerzenia zakresu spraw pomieszczanych w łamach „Łowca“.

Hr. Szembek uczynił wniosek, aby Wydział za pośrednictwem prezesa hr. Romana Potockiego, uprosił brata jego Józefa Potockiego, by zezwolił na przedruk w „Łowcu“ jego znakomitego dzieła: „Notatki myśliwskie z Afryki“. Członek wydziału p. Szczerbicki dodał do tego wniosku poprawkę, aby hr. Józefa Potockiego prosić także o wypożyczenie klisz, by przedruk myśliwskich jego przygód mógł być i w „Łowcu“ ilustrowanym. W dyskusyi, która nad tą sprawą się wywiązała, zabierali głos oprócz wnioskodawcy pp. Krogulski, Czarkowski-Golejewski, ks. Lubomirski. Oba wnioski uchwalono, nadto jednomyślnie uchwalono wniosek ks. Lubomirskiego, aby Wydział imieniem Towarzystwa złożył serdeczne podziękowanie hr. Józefowi Potockiemu za wzbogacenie literatury łowieckiej polskiej tak pięknem i cennem dziełem jak jego „Notatki myśliwskie“.

Żywa dyskusya, w której zabierali głos pp. Czarkowski-Golejewski, hr. Zamoyski, ks. Lubomirski, dr. Niementowski, Goralczyk, wywiązała się nad sprawą ilustracyi „Łowca“.

Po ukończeniu dyskusyi, uchwalono pozycyę na klisze w kwocie 600 zł. skreślić, pisma nie ilustrować, a natomiast podwyższono pozycyę: inne wydatki z 120 zł. na 420 zł.

Suma preliminowanych dochodów wynosi więc 3637 zł., rozchodów zaś 3051 zł., zatem — jak zauważył prezes — pozostanie przeto 600 zł. na pokrycie długów.

Tak więc preliminarz na r. 1898 został przyjęty.

Nastąpiły wybory. Przez aklamacyę wybrano w miejsce ustępujących według postanowień statutu czterech członków Wydziału pp. ks. Andrzeja Lubomirskiego, Franciszka Szczerbickiego, Seweryna Krogulskiego i dra Stanisława Miziewicza. Zastępcami wydziałowych wybrani pp. Tadeusz Czapelski, Alfred Dzikowski, Maryan Hamerski, Tadeusz Klusik, Jerzy Piwocki i Alfred Rosenberg.

Na tem porządek dzienny wyczerpano.

P. Krogulski zabrawszy głos podziękował zebranym, że zaszczycili go mandatem członka wydziału i oświadczył, że mandat ten przyjmuje i wedle sił pracować będzie dla dobra Towarzystwa. W końcu uczynił wniosek, aby zgromadzeni podziękowali hr. R. Potockiemu za prowadzenie obrad. Uchwalono.

Na tem walne zgromadzenie zakończono.

* * *

W odpowiedzi na telegram wysłany do JE. hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego otrzymał Wydział gal. Tow łowieckiego następującą odpowiedź:

„Proszę przyjąć i wszystkim wyrazić moje najserdeczniejsze podziękowanie za uczyniony mi zaszczyt i przyjąć moje najserdeczniejsze życzenie dalszego rozwoju i pomyślności Towarzystwa.

Włodzimierz Dzieduszycki.

KRONIKA.

Centrowne strzały. Do notatki umieszczonej pod powyższym tytułem w poprzednim numerze pozwolę sobie następujące zrobić uwagi: Trudno jest rzeczywiście wytłómaczyć sobie przyczyny, któreby działały korzystnie na strzał przez zalecony tym artykulikiem sposób przyrządzania naboi t. j. aby przez obcięcie łuski w około przybitki na prochu leżącej uzyskać to, by podczas eksplozyi prochu część górna łuski śrut obejmująca wraz z przybitką na prochu leżącą się oddzieliła i początkowo jednolity pocisk stanowić mogła. Nie uwzględniając już, że dzisiejsza na ścisłych badaniach oparta nauka ballistyki poucza, iż z broni myśliwskiej śrutowej tem ostrzejszy strzał się otrzymuje, im tarcie śrutu wraz z przybitką jest mniejsze, i tej tylko o tyle grubej i twardej używać należy, aby w lufie się nie przekręciła i należycie izolowała śrut od gazów prochu, a w tym wypadku nastąpić musi tarcie nadmierne — zapytać śmię szan. wynalazcę co się dzieje przy tym eksperymencie z lufą, u której stożek przejściowy z komory do właściwej lufy jest krótki i kantem zaopatrzony? Co się dzieje z lufami zaopatrzonemi chociaż słabem tylko zwężeniem wylotów? Zaatakuje mnie może szan. wynalazca słowami „spróbuj, a potem będziemy rozprawiali“! Dziękuję bardzo, a chociaż artykulik kończy się słowami „kto nie wierzy — niech spróbuje“, ja chociaż nie wierzę, nie próbuję i każdemu kto lepszą broń posiada i komu zdrowie miłe, szczerze odradzam wykonania podobnej, chociażby tylko jednorazowej próby. Skutki jej więcej jak prawdopodobne mogą być: jeżeli już nie rozerwanie lufy przy przejściu komory do wiercenia, lub oderwanie ewentualnie zwężonej części wylotowej — to niezawodne rozdęcie lufy w tych miejscach. Jedyny wypadek, gdzie opisanego sposobu, przynajmniej bez szkody dla strzelającego i broni, użyć można, jest ten, gdy się ma strzelbę wierconą w ten sposób, jak wiercone są strzelby iglicowe do łusek papierowych (Teschnera lub Dreysego) t. j. gdzie właściwa komora wraz z wierceniem luf stanowi jedną całość bez przejścia i różnicy w kalibrze i jeżeli lufy nie są opatrzone zwężeniem u wylotów. Na ten temat istnieją różne systemy t. zw. kartacze, które mają tę wyższość nad omawianym sposobem, że są do kalibru luf zastosowane, a przecież nawet najgorętszy tych kartaczy zwolennik, nie odważy się kartaczami strzelać z luf zwężonych u wylotów, a cóż dopiero, gdy taki kartacz jak omawiany, już w stosunku do światła lufy posiada większą jak jeden cały kaliber średnicę!

Przy tej sposobności pozwolę sobie zwrócić uwagę szan. czytelników myśliwych na wyborną sortę łusek nabojowych, które z najlepszym rezultatem w bieżącym sezonie tu w okolicy mojej używano. Są to t. zw. patentow. łuski bez duszy“ („Patent Hülsen ohne Ambos“) z wielką osobnej konstrukcyi kabzlą. Strzał dają ostry, regularny pod względem krycia, a bardzo przyjemną zaletą jest ich taniość, bo cena taka sama, jak łusek zwyczajnych. Przy tem nie zawodzą i bardzo łatwo dają się rekonstruować. Sprowadzamy tu od firmy: „A. J. Krebs Nachf. Wien, Wollzeile 3“.

A. R. R.

Pies i lis.

Mamy do zanotowania bardzo ciekawy wypadek zachowania się psa względem lisa, opowiedziany nam przez osobę godną zupełnego zaufania.

W Podhorodyszczu (pow. bóbreckim) porzucono w lesie padlinę końską dla zwabienia lisów. Pewnego dnia leśnik miejscowy p. Ch. przechodząc koło jednego z takich miejsc, w których padlina była rzucona, ujrzał swojego legawca razem z kundysem podwórzowym, raczącym się padliną, a między nimi ku największemu zdziwieniu lisa, który w najlepszej zgodzie z psami, dzielił ich ucztę. Psy i lis stały tak blisko siebie, że strzał przez dłuższy czas był niemożliwy. Dopiero, gdy lis, widocznie zaniepokojony jakimś odgłosem, ruszył się kilka kroków, mógł pan Ch. strzelić. Postrzelony silnie lis zaczął uchodzić — wtedy legawiec obejrzawszy się naprzód ku miejscu, skąd padł strzał i poznawszy swojego pana, zrozumiał, że dotychczas w niestosownem towarzystwie się zabawiał, skoczył ku lisowi i z całą zajadłością zabrał się mu do gardła. Lis odgryzał się zaciekle — legawiec jednak zdołał go, ciągle walcząc, zawlec na dziedziniec leśnictwa, gdzie lisa dobił.

Wrona porwała kuropatwę.

Dnia 18 stycznia 1898 jak nam podają, w oczach ks Jana Gorawskiego, proboszcza w Janowie, uniosła wrona w łapach złapaną kuropatwę. Nastraszona na podwórzu upuściła żywą jeszcze ofiarę, która jednak z powodu znaczniejszych obrażeń, widocznie dziobem wrony, przed złapaniem dokonanych niedługo życie zakończyła. Gdyby nie wiarygodne świadectwo, trudno byłoby uwierzyć, żeby wrona na dorosłą kuropatwę się rzucała i tak jak w tym wypadku uniosła ją.

Łacina łowiecka.

Pana Prawdzieckiego z Wymysłowic dziwne przygody.

(Ciąg dalszy).

Ognia z oczu sobie skrzesać, jak to niegdyś często czyniłem, na to nie chciałem się teraz odważyć, albowiem, pomijając inne okoliczności, które mi w drodze zawadzały, powiem to jedno, że ów eksperyment nabawił mnie wiadomego już raz bólu oczu, z którego się dotychczas jeszcze radykalnie nie wyleczyłem. Tęskno spoglądałem na nóż mój, który podemną prostopadle w śniegu tkwił, ależ tęskne spojrzenia ani o źdźbło losu mego nie polepszyły. Wreszcie wpadłem na pomysł, który o ile dziwnym, o tyle był szczęśliwym. Oto promień wody skierowałem tak, że prosto na rękojeść noża spadał. Mróz trzaskający, który wtedy panował, był przyczyną, że woda natychmiast zamarzała i w jednej chwili nad nożem przedłużenie z lodu się utworzyło, które aż do dolnych gałęzi drzewa sięgało Co ja robię? chwytam za trzon lodowaty i bez trudu, acz z wielką ostrożnością, przyciągam do siebie nóż. Ledwie nożem skałkę zaśrubowałem, aliści i niedźwiedź na drzewo włazi. Doprawdy! pomyślałem sobie, trzeba być tak mądrym, jak niedźwiedź, aby czas tak dobrze upatrzeć i mi na prask przychodzić, i powitać pana Bartosza i tak strzeliłem affektem gradobicia, że mu na zawsze odechciało się na drzewa włazić.

Także razu jednego wypadło na mnie straszne wilczysko tak raptownie że mi nic więcej nie pozostawało, jak tylko z pewnego przyrodzonego instynktu pięść mu w rozwartą paszczę wepchnąć. Dla własnego bezpieczeństwa wpychałem ją co raz głębiej, aż całą rękę do ramienia wtłoczyłem. Lecz cóż miałem dalej czynić? Skłamałbym, gdybym powiedział, że ta niezręczna sytuacya do życzenia i godności mojej przystawała, Proszę sobie tylko pomyśleć: w obec wilka, twarz w twarz, oko w oko jego! Nie bardzośmy też przyjaźnie na siebie spoglądali. Gdybym był rękę wyciągnął, rzuciłaby się na mnie bestya tem zajadlej; to mogłem jasno i wyraźnie z jej iskrzących się ślepi wywnioskować Koniec końcem, schwyciłem ją za trzewy, przewróciłem to, co zewnątz było, na wewnątrz, nakształt rękawiczki, cisnąłem o stajęna bok i poszedłem drogą moją, ciesząc się, żem bestyalność po ludzku ukrócił.

Sztuczki tej nie chciałem na wściekłym psie powtórzyć, który nie długo potem z zaułku w Stronczynie na mnie wypadł. Bierz nogi na plecy i uciekaj! pomyślałem sobie. Aby tem prędzej zemknąć, zrzuciłem ze siebie surdut i wpadłem do sieni jednego domostwa. Później kazałem słudze surdut przynieść i go między inne rzeczy w szatnicy zawiesić. Dnia następnego przeraziłem się okropnie, usłyszawszy krzyk Janka: „O Boże, o Panie, surdut się wściekł!“ Błyskawicą lecę do niego i — o widoku bolesny! wszystkie moje szaty były zmięte i na szmatki porozdzierane. Służący zgadł, jak gdyby mu kto inny powiedział, że surdut się wściekł. Przyleciałem właśnie na czas, kiedy ten targnął się na nową piękną suknię galową i ją niemiłosiernie po podłodze wlókł.

We wszystkich tych razach, moi Panowie, z których zawsze szczęśliwie, lecz zawsze z wielką trudnością życie uniosłem, sprzyjał mi przypadek, jakieś fatum łaskawe, które moja odwaga i przytomność umysłu na własny pożytek obrócić umiały. Wszystko to razem wzięte czyni, jak wiadomo, strzelca majtka lub żołnierza szczęśliwym. Ten jednak byłby bardzo nieroztropnym, nagany godnym myśliwym, admirałem lub generałem, ktoby się jedynie na traf i gwiazdę swoją spuszczał, nie dbając o to, czy ma należne zdolności i wprawności i czy jest w narzędzia zaopatrzony, które pomyślny wypadek zapewniają. Taka nagana bynajmniej osoby mojej nie dotyczy się, bo zaiste było i jest głośnem imię moje, nietylko dla przedności moich koni, psów i broni, ale i dla szczególnego sposobu, w jaki ich używam, tak że się słusznie pochwalić mogę, że lasy, łąki i pola pamięć moją na długie czasy przechowywać będą. Nie chcę się wprawdzie zapuszczać w szczegóły moich stajen, psiarni lub zbrojowni jak to stajenni, myśliwczykowie i psiarze nałogowo czynią, ale dwa z pomiędzy wszystkich mych psów tak się w czynionych mi usługach odznaczyły, że nigdy o nich nie zapomnę i że przy tej sposobności przynajmniej kilku słowy o nich wspomnieć muszę. Jeden z nich, wyżeł, był tak posłuszny, nieznużony, baczny, czujny i roztropny, że każdego patrzącego nań zazdrość brała. Dniem i nocą mogłem nim posługiwać się: nocą zawieszałem mu latarkę na ogon i potem polowałem z nim tak dobrze, a może lepiej niż w dzień jasny. (C. d. n.)

Zagadka.

Choć bez nóg się zrodziłem — biegam doskonale,
Słyszę dobrze — choć uszów także niemam wcale,
Choć ócz niemam — to wszystko widzę na mej drodze,
Choć bez sierści — to cały rok we futrze chodzę,
Chociaż krwi w żyłach nie mam — jestem jednak żywy.
A kto jestem?... Odgadnąć powinien myśliwy.

L. Starzeński.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya „Łowca“: Lwów, pl. Chorążczyzny 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie, ul. Sobieskiego 16. — pod zarządem Fr. Kattnera.